9 771898 308011 36

POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 31.08.2026
Nr 70 (2581)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

MAGAZYN • STR. 3

Piesiewicz w areszcie, prawica w potrzasku

Afera Zondacrypto to gorący kartofel w rękach prawicy. Festiwal wzajemnych oskarżeń trwa

www.i.pl

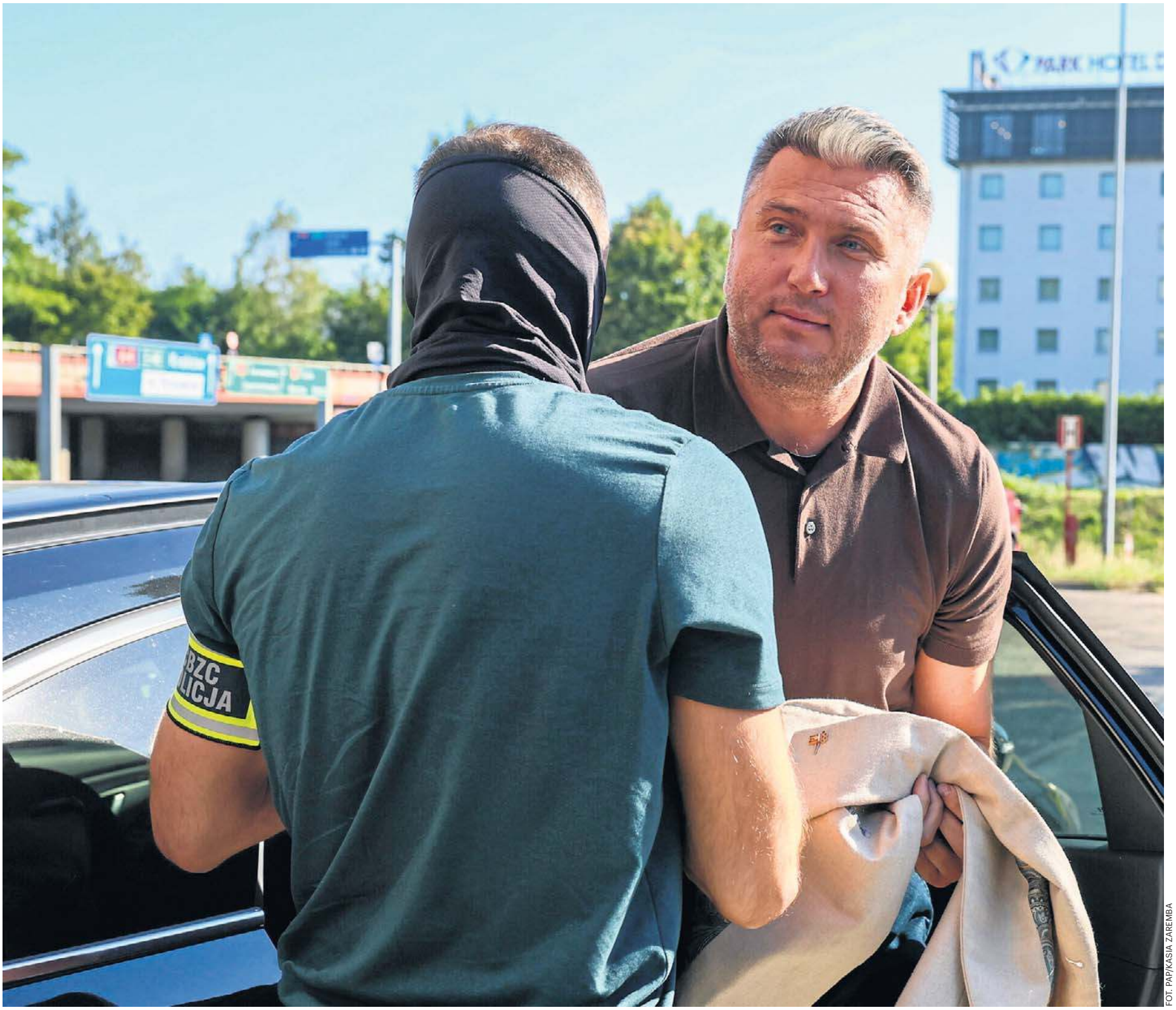

FOT. PAP/KASIA ZAREMBA

DZIŚ W NUMERZE
- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

MAGAZYN • STR. 4–5

Dziedzictwo Sierpnia ’80. Wciąż nam potrzeba solidarności

MAGAZYN • STR. 6–7

Mniej cukru i mięsa. Rewolucja w szkolnych stołówkach

MAGAZYN • STR. 12–13

Misja ojca Grzegorza wśród potomków ludożerców

eprasa.pl 2c5aa58040

POLECAMY

PIĄTEK: Dlaczego premier mówi, że „Polska i NATO muszą być gotowe na różne scenariusze”?

31.08.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Bohdana, Rajmunda, Izabeli
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Monika Kaczyńska
publicystka

Nowe powraca,
czyli kolejne koło zmian

Rok szkolny za pasem, to i nowe powraca. Ze szkolnych stołówek wyprowadza się cukier i sól, wracają zupy na wywarach warzywnych, ryby i rośliny strączkowe. Nowość? Żadna. Poprzednim razem taką rewolucję przeprowadzono 11 lat temu. Niestety, zanim rewolucyjne zmiany zdążyły się przyjąć zaczęła się ich erozja. „Bo dzieci przynoszą w woreczkach sól, a w śniadaniówkach słodycze” - powtarzali rodzice, nauczyciele i ajenci szkolnych sklepików. Po paru latach nikt już nie pamiętał, że miało być zdrowo. Kiedy tym razem ze szkolnych jadłospisów zniknie cieciorka i fasola i dowiemy się, że jarskie zupy są niejadalne? Przyjmuję zakłady. Ale raczej prędzej niż później.

W ostatnich dniach ministra edukacji triumfalnie ogłosiła, że lekcje religii (których wyprowadzenie ze szkół nota bene obiecywała) będą się odbywały na pierwszej lub ostatniej lekcji. To nowość z jeszcze dłuższą historią. Takie były zapisy rozporządzenia wprowadzającego ten przedmiot do planu lekcji 36 lat temu. Czy kiedykolwiek przestrzegano tego rozporządzenia? Jeśli nawet - nie była to praktyka powszechna i przez dekady rodzice uczniów nie korzystających z katechezy (odbywającej się między polskim, przyrodą) skarżyli się, że uczniowie siedzą na korytarzach, spędzają czas w świetlicach czy gdziekolwiek, do tego wychodząc z klasy czują się wykluczeni. Walka o lekcje etyki często bywała walką z wiatrakami, o tym, żeby odbywały się w tym samym czasie co religia, można było zapomnieć. Czy tym razem ułożenie planów lekcji , zgodnie z deklaracjami MEN się uda? Nie jestem optymistką. Po raz 37 deklaracje rozbiją się o dyrektorsko-nauczycielskie niemożności.

Równie czarno widzę szansę realizacji kolejnego szczytnego postulatu - mniej więcej nowego -wyprowadzenia telefonów komórkowych z lekcji i przerw. I choć jestem jego szczerą entuzjastką, uważam, że również w tym przypadku czeka nas spektakularna porażka.

I nowe zatoczy kolejne koło.

Nie musiałoby tak być. Tylko, żeby zmiana faktycznie nastąpiła potrzeba dwóch rzeczy łącznie: przekonania do tych pomysłów dyrektorów szkół, nauczycieli i najlepiej także rodziców oraz konsekwentnego ich egzekwowania. Bez tego o reformie nie ma mowy. Kto nie wierzy, nie zrobi. A MEN ? Daleko i bezzębny.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską”

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

ROZMOWA

S. Chmielewska
Polacy są wspaniałym narodem, ale społeczeństwem żadnym

Założona przez siostrę fundacja Domy Wspólnoty Chleb Życia prowadzi obecnie 11 domów w Polsce. Od wielu lat konsekwentnie upomina się siostra o ludzi, których społeczeństwo stara się nie widzieć.

Przede wszystkim - społeczeństwo stara się nie widzieć albo też stara się nienawidzić, a to już zasadnicza różnica. Zawsze na marginesie życia społecznego są ludzie niepełnosprawni, starsi, chorzy, bezdomni. Ci, którzy sobie w życiu nie radzą, ponieważ mieli dużo mniejsze szanse i możliwości. Ja mówię, że gorzej się urodzili, w innym miejscu niż my wszyscy, którym się w życiu powiodło. Do tego dochodzą teraz ofiary wszelkiego rodzaju wojen. Szczególnie tej najbliższej, bo uchodźców z Ukrainy mamy najwięcej, ale w naszych domach są także uchodźcy chociażby z Jemenu. Oczywiście są u nas legalnie. Znajdą u nas miejsce wszyscy, którzy wymagają wsparcia, solidarności i szans na przyzwoite, normalne, godne życie.

W debacie publicznej coraz częściej słyszymy język wykluczenia, nieufności i niechęci wobec różnych grup społecznych - teraz szczególnie Ukraińców. Jesteśmy dzisiaj bardziej podatni na te populistyczne narracje budowane na lęku i podziale?

Powiązanie poczucia własnej wartości z poczuciem przynależności do pewnej grupy etnicznej lub narodowej było w ludziach od zawsze. Dobrze wiemy, że w okresie międzywojennym również w Polsce były ruchy, które powodowały nagonki na Żydów. Dochodziło do konkretnych działań marginalizujących, takich jak numerus clausus (ograniczenie ogólnej liczby osób pewnej kategorii, np. narodowościowej, przy przyjmowaniu na studia, do stowarzyszeń, do pracy - PAP), co akurat dotyczyło Żydów, ale mało wiemy o historii Kresów - tych terenów, które należą głównie do dzisiejszej Litwy, Białorusi, Ukrainy. Tam nienawiść narodowościowa trwała od wieków. Bo to jest w człowieku. Rasizm zawsze był trochę publiczny, ale niektórym ludziom było wstyd się do niego przyznawać. W tej chwili nie ma żadnego wstydu, chociaż to też zaczęło się już dość dawno. Od lat niektórzy politycy usiłują zdobyć popularność, dając samymi sobą przykład i przyzwolenie dla takich postaw. Były przypadki atakowania, a nawet podpalania ludzi bezdomnych w parkach czy na ławkach, bo „zaśmiecają obraz Polski dla Polaków”. Wiemy, jak ideologia mówiąca o czystości narodu skończyła się w Niemczech. Oprócz mordowania wszystkich niepasujących do schematu Żydów, Romów i Polaków mordowano także osoby niepełnosprawne i niepełnosprawne intelektualnie. To wcale nie jest tak daleki scenariusz. Zawsze szukamy sobie wroga, który jest słabszy i naszym zdaniem gorszy, po prostu inny. Wszystko po to, żeby poczuć, że jest się kimś, że jest się „Panem”. Ten mechanizm znakomicie wykorzystywany jest przez polityków, którzy w tę nienawiść się bawią. Jeśli chodzi o Ukrainę i o Putina, to nie wiem, czy na Kremlu wystarcza im szampana w związku z łatwym posłuchem dużej rzeszy ludzi manipulowanych w Polsce - choć na szczęście nie u wszystkich.

FOT. KAROLINA MISZTAL

Siostra Małgorzata Chmielewska

A jednak na początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę Polacy otworzyli swoje domy i zaoferowali pomoc. Dziś emocje są inne. Czy duch solidarności, który wtedy zobaczyliśmy, nadal w nas jest?

Są dwie rzeczy. Przede wszystkim - parafrazując to, co mówił Norwid - Polacy są wspaniałym narodem, ale społeczeństwem żadnym. Polacy są znakomici, jeśli jest walka i jest akcja. Natomiast później pojawiają się konsekwencje tych akcji i ciężar odpowiedzialności za tych, którym się pomogło. Tego nie potrafimy udźwignąć. Oczywiście mamy niesamowite akcje w postaci chociażby Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, ale właśnie - to jest akcja. Dzięki Jurkowi Owsiakowi mamy wyposażenie gabinetów medycznych i wiele ludzkich żyć zostało uratowanych. Natomiast niesienie pomocy dalej i udzielanie jej na co dzień jest dla nas dużo trudniejsze. Dochodzi jeszcze manipulacja. Hasła mówiące o tym, że Ukraińcy nam coś zabierają, są oczywistą nieprawdą, ale są bardzo nośne. Zwłaszcza te dotyczące spraw, w których społeczeństwo ma trudności, jak np. dostęp do usług medycznych. A odpowiedzialni za reformę służby zdrowia oddychają z ulgą, bo znalazł się winny. Doskonale wiemy, że bez migrantów i uchodźców z Ukrainy, którzy pracują i wprowadzają do budżetu i do NFZ-u więcej, niż otrzymują, nasza gospodarka wyglądałaby inaczej. Ale oprócz nich są jeszcze osoby z niepełnosprawnościami, starsze, bezdomne i inne grupy wymagające opieki. Oni w jakimś sensie zabierają, ale dlatego, że trzeba się z nimi podzielić, bo nie są w stanie sami pracować. PAP

S. Małgorzata Chmielewska jest obok Leszka Jażdżewskiego i Natalii Panczenko laureatką Medalu Wolności Słowa. Gala odbyła się w piątek w Gdańsku.

eprasa.pl 2c5aa58040

POLITYKA

FOT. LUCYNA NENOW

Radosław Piesiewicz, szef PKOI, który swoją karierę zawdzięcza Jackowi Sasinowi, jednemu z najważniejszych ludzi w PiS, został tymczasowo aresztowany

Piesiewicz w areszcie, prawica w potrzasku

Afera Zondacrypto kręgi to gorący kartofel w rękach polskiej prawicy. Ta próbuje dystansować się od sprawy, ale padają już wzajemne oskarżenia między dawnymi partyjnymi kolegami. Rząd po raz kolejny mówi: sprawdzam

Dorota Kowalska

Prawica ma problem i to spory. Radosław Piesiewicz, szef PKOI, który swoją karierę zawdzięcza Jackowi Sasinowi, jednemu z najważniejszych ludzi w Prawie i Sprawiedliwości, został tymczasowo aresztowany.

Piesiewicz został zatrzymany w czwartek w Warszawie. Tego samego dnia w śląskim wydziale Prokuratury Krajowej usłyszał zarzuty płatnej protekcji i zaspokojenia grupy wierzycieli Zondacrypto z pokrzywdzeniem innych w związku z grożącą niewypłacalnością.

O co konkretnie chodzi? Z ustaleń śledczych wynika, że w obliczu nadciągającego krachu i niewypłacalności platformy Zondacrypto, Piesiewicz zdołał odzyskać 100 proc. zainwestowanego w rynek kryptowalut kapitału. Został potraktowany w sposób uprzywilejowany w stosunku do tysięcy innych klientów, którzy na giełdzie stracili swoje oszczędności, bo im wypłacać pieniędzy wtedy nie było już można. Zdaniem prokuratury wypłata pełnej kwoty w sytuacji grożącej niewypłacalności podmiotu odbyła się ze szkodą dla pozostałych inwestorów.

Kolejna sprawa - według ustaleń WP i TVN24, Radosław Piesiewicz miał dostać od szefa Zondacrypto Przemysława Krala zegarek wart 40 tys. euro. Miał to być prezent za „załatwienie" problemów giełdy z Urzędem Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK). Piesiewicz ponoć powoływał się przy tym na znajomości z ówczesnym premierem Mateuszem Morawieckim i szefem UOKiK. Niczego nie załatwił, z nikim się nie spotkał, ale prezent przyjął.

Szef PKOI wszystkiemu zaprzecza: utrzymuje, że zegarek kupił sobie sam, oficjalnie i publicznie twierdził też, że stracił na giełdzie kryptowalut ogromne pieniądze. Z ustaleń śledczych wynika jednak zupełnie coś innego.

Zatrzymanie i aresztowanie Radosława Piesiewicza to spory kłopot dla polskiej prawicy. I nie tylko dlatego, że to za rządów Zjednoczonej Prawicy zrobił oszałamiającą karierę dzięki protekcji Jacka Sasian, z którym zna się od lat. Także dlatego, że prawica nie przyłożyła ręki do uregulowania rynku kryptowalut, głosowała przeciw odrzuceniu wet prezydenta, który blokował wprowadzenie zmian w tym obszarze – teraz okazuje się jednak, że sprawa może mieć drugie dno.

Już od wielu miesięcy wiadomo, że na przełomie października i listopada 2025 roku, miesiąc przed głosowaniem weta prezydenta w sprawie regulacji rynku kryptowalut, Przemysław Kral, prezes zarządu giełdy kryptowalutowej Zondacrypto dokonał wpłat na rzecz dwóch fundacji: 450 tys. zł wpłacono Fundacji Instytut Polski Suwerennej Zbigniewa Ziobro. Część z tych środków przeznaczono na obrońców Dariusza Mateckiego i księdza Michała Olszewskiego. Inna spółka związana z Zondacrypto i panem Kralem Expofer Servis House zrealizowała transakcję na rzecz fundacji posła Przemysława Wiplera, polityka Konfederacji. Zondacrypto była także głównym sponsorem imprezy prawicowych działaczy CPAC. W trakcie kampanii prezydenckiej najważniejszymi jej uczestnikami byli prezydenci Duda i Nawrocki.

Teraz wychodzi na jaw, że z Przemysławem Kralem spotkał się nie tylko Janusz Kowalski, były polityk PiS, ale i Michał Moskal, były szef gabinetu politycznego Jarosława Kaczyńskiego i dyrektor Biura Prezesa PiS, członek sejmowej Komisji Cyfryzacji. Obaj panowie po tych spotkaniach mocno uaktywnili się w temacie kryptowalut i wnosili do ustawy regulującej ten rynek poprawki będące bardzo na rękę Kralowi. Ten, inwestował nie tylko w prawicowych polityków, ale i prawicową telewizję Republika. Starał się być przy tym pomocny także dla uciekinierów - w piątek TVN24 i WP ujawniły, że próbował załatwić pobyt w Dubaju Marcinkowi Romanowskiemu, byłemu wiceministrowi sprawiedliwości, jednemu z najbliższych współpracowników Zbigniewa Ziobry, który od miesięcy ukrywa się przed polskim wymiarem sprawiedliwości.

Dzisiaj te fakty są bardzo nie na rękę prawicowym politykom, którzy odcinają się od Przemysława Krala, giełdy kryptowalut i samego Piesiewicza.

Mateusz Morawiecki przekonywał, że już wiele miesięcy temu ostrzegał swoich politycznych kolegów przed giełdą Zondacrypto, która wykorzystywała schemat „odwróconej piramidy finansowej" i przypominała mu „aferę Amber Gold". - Ja zwracałem uwagę na ryzyka związane z tego typu giełdami jak Zondacrypto (...) Kilka lat temu miałem już swoje pierwsze wypowiedzi dla Bloomberga i także w Radiu RMF dotyczące tego, że kryptowaluty wiążą się z ogromnym ryzykiem – stwierdził w sobotę Morawiecki.

Lider stowarzyszenia Rozwój Plus wspominał także, że wśród parlamentarzystów krytykowano osoby, które przestrzegały przed inwestowaniem na giełdzie Zondacrypto.

- Pamiętam głosy polityków z mojego obozu, z obozu Konfederacji, którzy prześcigali się w tym żeby krytykować tych, którzy przestrzegają przed inwestowaniem w Zondacrypto (...) Mówiłem o różnicach między krypto aktywami, a krypto walutami, mało kto wtedy chciał słuchać – podkreślił Morawiecki, który dzisiaj domaga się powołania komisji śledczej mającej wyjaśnić nieprawidłowości ws. Zondacrypto.

Pomiędzy Morawieckim a Jarosławem Kaczyńskim już w piątek doszło do spięcia w mediach społecznościowych.

„O zakazie kryptowalut w Polsce wielokrotnie mówiłem osobiście, co więcej, zainicjowałem złożenie w tej sprawie ustawy. Jeśli chodzi o sceptycyzm Mateusza Morawieckiego wobec tego rynku, to z naszych spotkań jako żywo go sobie nie przypominam. Żeby było jasne: optymizmu też nie" - napisał Kaczyński.

I dołączył do swojego wpisu fragment rozmowy w Radiu ZET, w którym Morawiecki stwierdził, że kryptowaluty nie powinny być w Polsce zakazane. Były premier odpowiedział wpisem z załączonym zdjęciem Kaczyńskiego z Michałem Moskalem.

„To chyba nie jest dziś Pana największy problem z kryptowalutami, Panie Prezesie" - napisał lider Rozwoju Plus.

Jego wpis skrytykowali czołowi politycy Prawa i Sprawiedliwości, jego dawni partyjni koledzy.

„Na prośbę Pana prezesa Kaczyńskiego przekazuję, iż Pan prezes ubolewa nad Pana zachowaniem. Moglibyśmy zaprezentować wiele różnych zdjęć z Pana udziałem, ale my takich metod nie stosujemy... Dobrego wieczoru" - napisał rzecznik partii Rafał Bochenek.

„Kolego - jedność PiS, pokój na prawicy. Ja nie zmieniam zdania, widzę jednak, że Ty nie znasz żadnych granic. Apeluję jednak do twego sumienia i rozsądku - nie przeginaj" – to z kolei Przemysław Czarnek.

A Tobiasz Bocheński krótko: „Największy problem zdradził i sobie poszedł z PiS ku uciesze Tuska".

Widać, że prawicę dzieli afera Zondacrypto, a przed nami kolejne jej odsłony. Wiadomo, że w śledztwie nastąpił przełom: do prokuratury zgłaszają się kolejni świadkowie, którzy chcą zeznawać, Przemysław Kral, w nadziei na łagodniejszy wyrok, podjął ze śledczymi współpracę, a ponoć wszystkie rozmowy, także z politykami prawicy nagrywał, więc nie wiadomo, jakie jeszcze nazwiska wypłyną w tej historii. Mówi się, że spać spokojnie nie mogą także osoby w otoczeniu prezydenta Karola Nawrockiego, który już trzy razy wetował ustawę mającą uregulować rynek krytpowalut w Polsce.

W obliczu tych wszystkich informacji premier Donald Tusk zwrócił się do marszałka Sejmu o ponowne głosowanie weta prezydenckiego w sprawie kryptowalut.

Głosowanie odbędzie się podczas najbliższego posiedzenia Sejmu. Rząd po raz kolejny mówi: sprawdzam.

0011575242

Naszemu Koledze

Piotrowi Durskiemu

z powodu śmierci

Mamy

serdeczne wyrazy współczucia

składają

koleżanki i koledzy

z Polska Press Grupy

eprasa.pl 2c5aa58040

ROCZNICA

Dziedzictwo Sierpnia `80. Wciąż potrzebujemy solidarności

– Dziś, kiedy mamy odradzający się rosyjski imperializm budowany przez ludzi tworzących wcześniej sowiecki system represji, podlany do tego nacjonalizmem wielkoruskim, musimy odwoływać się do idei Sierpnia 80. Bo naród rozumiany jako wspólnota polityczna potrzebuje elementu spajającego, którym jest solidarność – mówi Arkadiusz Modrzejewski, dyrektor Instytutu Politologii Uniwersytetu Gdańskiego, profesor Uniwersytetu Gdańskiego

Tomasz Chudzyński

Sierpień 80 położył podwaliny pod upadek PRL-u w 1989 roku – tu nie ma raczej sporu zarówno wśród historyków, politologów, jak i obywateli.

Na pewno Sierpień `80 był ważnym etapem w rozmontowywaniu systemu PRL-u, ukazaniu jego słabości, wewnętrznej sprzeczności realnego socjalizmu, bo robotnicy – awangarda społeczeństwa socjalistycznego – wystąpili przeciwko robotniczemu państwu. Tym razem skutecznie. Przyparci do muru państwowi i partyjni oficjele musieli pójść na ustępstwa. Ale to jeszcze nie był koniec systemu. Do upadku tzw. komunizmu potrzebna była jeszcze zmiana – nazwijmy to – geopolityczna, czyli to, co nastąpiło w Związku Radzieckim w 1984 roku wraz z nadejściem ery Gorbaczowa, a co w dużej mierze było konsekwencją coraz mniej wydolnych mocy, w tym szczególnie ekonomicznych, komunistycznego imperium w starciu z Zachodem, szczególnie z USA. Komunizm upadł przez wewnętrzną sprzeczność leżącą u podstaw doktrynalnych marksizmu, na którym był oparty. Ideałem, do którego dążono, miało być nie tylko społeczeństwo bezklasowe, ale także wyeliminowany miał być konflikt klasowy, co było oczywistą konsekwencją tego pierwszego. Jednak w warunkach realnego socjalizmu przekonaliśmy się, że miejsce „kapitalistów" zajęło upartyjnione państwo ze swoją biurokracją. A biorąc pod wzgląd niewydolność systemu centralnie planowanego, w którym de facto wyeliminowano reguły wolnorynkowe, konflikt na linii komunistyczne państwo – robotnicy był nieunikniony.

Musimy pamiętać o tym, że Sierpień 80 to budowanie uniwersalnej wspólnoty ponad podziałami. Tylko taka wspólnota mogła być skuteczna w konfrontacji z reżimem

ARKADIUSZ MODRZEJEWSKI

Jakie miał znaczenie dla opozycji demokratycznej w tamtym czasie?

Dzieje polskich zrywów robotniczych – rok 1956, 1970, 1976 oraz właśnie 1980 i w końcu 1988 – to w istocie dowód na sprzeczność w samym systemie PRL. Niemniej to właśnie rok 1980 ma niezwykłe znaczenie. Nie bałbym się użyć pojęcia „uniwersalne". Bo to dzięki uniwersalnej idei solidarności, będącej kamieniem węgielnym wydarzeń Sierpnia, ukazana została ogólnopolska wspólnota interesów pracowniczych. Wcześniejsze zrywy miały terytorialnie ograniczony charakter, ale co ważniejsze, powstała ogólnopolska wspólnota oporu przeciw reżimowi – wspólnota, która była ponadklasowa, w której spotykały się różne projekty polityczne, ludzie o różnych biografiach i światopoglądach. W tym 10-milionowym ruchu było miejsce dla ludzi głęboko wierzących i ateistów, konserwatystów i lewicowców, robotników i inteligentów bywałych w tzw. wielkim świecie, w końcu dla członków partii i bezpartyjnych. Tego wielkiego, uniwersalnego zrywu żadna władza nie mogła lekceważyć.

Co w tych kilkunastu dniach w sierpniu roku 80. było przełomowe? Sam strajk i jego bezpośrednia przyczyna, czyli zwolnienie ze stoczni Anny Walentynowicz? Determinacja i odwaga strajkujących? Umiejętnie prowadzone rozmowy z władzą?

Wszystko po trochu. Ale kluczowa moim zdaniem była odwaga. Zauważmy: na co dzień jesteśmy zwykle oportunistami dostosowującymi się do określonych warunków. To jest zrozumiałe, jeśli chcemy w miarę spokojnie żyć i funkcjonować w społeczeństwie. Gdyby było inaczej, traktowano by nas jak pieniaczy, ludzi nieracjonalnych, nieprzewidywalnych. Niemniej, w szczególnych okolicznościach, a takie nastąpiły latem 1980 roku, pojawili się ludzie, którzy potrafili wyjść – jak to się dziś mówi – ze strefy komfortu, podjąć wyzwanie i stanąć przeciwko władzy, panującym obyczajom czy nastrojom. Co więcej, mieli oni w sobie coś charyzmatycznego, co pociągnęło innych, co sprawiło, że inni im zaufali. I znaleźli odwagę, by kroczyć ramię w ramię. Ale żeby to nie był marsz straceńców, potrzebne było wyczucie odpowiedniego momentu, wsparcie tych, którzy nie podjęli bezpośrednio wyzwania, a w końcu zdolność do podjęcia dialogu i zawierania kompromisów. Odwaga jest tu kluczowa zatem. Nie zapominajmy przy tym o roli, jaką odegrał tu papież Jan Paweł II z jego uniwersalnym przesłaniem: „Nie lękacie się!". To jego wybór na Stolicę Piotrową i pierwsza pielgrzymka do ojczyzny zadziałały jak katalizator. Widoczne było to w symbolice Sierpnia 80.

Oczywiste jest chyba też, że cała opozycja antykomunistyczna (w tym KOR, S) położyła podwaliny pod współczesne polskie społeczeństwo obywatelskie, z jego samoorganizacją, gotowością do działalności na rzecz społecznego rozwoju...

Nie ma wątpliwości. Ale tu trzeba też podkreślić rolę Kościoła katolickiego, który udzielił strajkującym, opozycjonistom wsparcia instytucjonalnego. Dziś coraz częściej mówi się o Kościele w kontekście skandali czy nadużyć, ale pamiętajmy, że w latach Polski Ludowej parafie, liczne duszpasterstwa, uczelnie katolickie, zwłaszcza Katolicki Uniwersytet Lubelski, stanowiły przestrzeń, którą nazywam przestrzenią wolności. Tu odbywały się wykłady, spotkania, wydarzenia artystyczne, dla których nie byłoby miejsca w instytucjach państwowych. Warto podkreślić, że nie była to tylko przestrzeń zarezerwowana dla wierzących. Ważne są tu świadectwa takich lewicowych intelektualistów, jak chociażby Adam Michnik, który nie będąc przecież praktykującym katolikiem, dostrzegał rolę Kościoła w procesie przemian. Szkoda, że dzisiejszy Kościół, przynajmniej w ogólnym oglądzie, staje się coraz bardziej hermetyczny, a lewica przybiera maskę radykalnie antyklerykalną. Tu już nie ma przestrzeni na konstruktywny dialog. To spotkanie dwóch światów w latach 80. było naprawdę inspirujące dla obu stron.

FOT. K. KORCZYŃSKI/ECS.GDA.PL/CC BY-SA 3.0

Tablice z 21 postulatami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego wywieszone na bramie Stoczni im. Lenina

eprasa.pl 2c5aa58040

Tamto doświadczenie wykształciło naszą scenę polityczną w latach 90., ale i wpływa na nią dziś... Pytam o to, bo od lat mamy podwójne obchody Sierpnia `80 – ze wzajemnymi oskarżeniami czy wręcz inwektywami... Co z tym zrobić?

Lata 90. i początek 2000 to wciąż aktualny podział, mówiąc w dużym uproszczeniu, na tzw. postkomunę i postsolidarność. Wtedy byłych działaczy PZPR, tych, którzy nie oddali legitymacji partyjnych w stanie wojennym, szukalibyśmy raczej w SLD, natomiast politycy wywodzący się z tradycji solidarnościowej podzielili się na różnego rodzaju frakcje polityczne według kryterium nie tylko ideologicznego, lecz także charakterologicznego, ale to zupełnie inny temat. Były próby łączenia obu środowisk, jak na przykład Unia Pracy. W jakiejś mierze z tego podziału wymykało się Polskie Stronnictwo Ludowe, choć nie da się wymazać związków z satelickim wobec PZPR ZSL. W każdym razie podział, o którym mówimy, był dosyć wyraźny w pierwszych dwóch dekadach polskiej transformacji. Dziś ten podział w zasadzie nie ma większego znaczenia. Lewica to na ogół nowe pokolenie polityków - no, może poza liderem Nowej Lewicy Włodzimierzem Czarzastym. Politycy dawnej antykomunistycznej opozycji, od prawa do lewa, bez większych problemów tworzą formacje polityczne i koalicje z byłymi działaczami partyjnymi.

FOT. L. SZMAGLIK/WIKIMEDIA

Delegaci strajkujących zakładów pracy w Sali BHP Stoczni Gdańskiej im. Lenina

Niedawno Ukraina obchodziła rocznicę uzyskania swojej niepodległości. Dlaczego jest tyle różnic w naszej i ich drodze? Inne tzw. demoludy nie miały swojego Sierpnia `80 i Solidarności...

To dwa kompletnie różne doświadczenia historyczne i kulturowe. W zasadzie każdy z tzw. demoludów to specyficzny przypadek. Nas najwięcej chyba łączyło z Węgrami. Podobna mentalność, silny udział Kościoła katolickiego w społeczeństwie, relatywnie duży, jak na warunki państwa demokracji ludowej, zakres swobód obywatelskich i ekonomicznych. Ale to właśnie tylko w Polsce narodziła się Solidarność, masowy, uniwersalny i ekumeniczny – w świeckim rozumieniu tego pojęcia – ruch społeczny, w którym uformowały się ostatecznie biografie polityczne przyszłych liderów politycznych demokratycznego państwa. W republikach radzieckich, ze względu na totalną inwigilację, było to praktycznie niemożliwe. Powstawały oczywiście ruchy oddolne, jak litewski Sąjūdis, ale nie o takim stopniu masowości i znaczeniu, jak polska Solidarność. W Ukrainie, podobnie jak w wielu innych republikach radzieckich, może z wyjątkiem republik bałtyckich, nową-starą elitą władzy stali się działacze, już byli, komunistyczni. Leonid Krawczuk, pierwszy prezydent Ukrainy, był nie tylko przewodniczącym Rady Najwyższej Ukraińskiej SRR, ale i członkiem politbiura KC Komunistycznej Partii Ukrainy. Możemy powiedzieć, że i w polskim przypadku pierwszym prezydentem został generał Wojciech Jaruzelski, ale pełnił swoją funkcję trochę ponad rok i w pokojowy sposób przekazał władzę swojemu następcy, wybranemu w wyborach powszechnych Lechowi Wałęsie. Ale zanim to się stało, realną władzę pełnili liderzy dawnej opozycji z premierem Tadeuszem Mazowieckim na cele. Choć oczywiście proces przejmowania kontroli zwłaszcza nad tzw. resortami siłowymi nie był ani prosty, ani oczywisty. Krótko mówiąc, w Polsce w roku 1989 nastąpiła zamiana elity władzy, podczas gdy w republikach poradzieckich na ogół mieliśmy do czynienia z kontynuacją. Przeformatowaniu poddano jedynie warstwę ideologiczną. Zresztą przejęcie władzy przez nieprzygotowanych do ról politycznych ludzi miało często opłakane skutki, jak w Gruzji, kiedy to Zviad Gamsachurdia, człowiek niesamowicie odważny i o pięknej karcie opozycjonisty, doprowadził Gruzję niemal do upadku. Solidarność to była też wielka szkoła edukacji społecznej i politycznej. Z pewnością tej szkoły zabrakło republikom poradzieckim, w tym Ukrainie. Ona po prostu w warunkach sowietyzacji nie mogła powstać. Niby ta sama geopolityczna orbita, niby bliskość przestrzenna, a jednak żyliśmy tak naprawdę w dwóch zupełnie różnych światach.

O czym powinniśmy pamiętać szczególnie w czasie obchodów Sierpnia `80?

Nie mam wątpliwości, że musimy pamiętać o tym, że Sierpień `80 to budowanie uniwersalnej wspólnoty ponad podziałami. Tylko taka wspólnota mogła być skuteczna w konfrontacji z reżimem, który był częścią, może w wersji light, ale był, sowieckiej strefy wpływów, czy – mówiąc krótko – sowieckiego imperium. I dziś, kiedy mamy odradzający się rosyjski imperializm budowany przez ludzi tworzących wcześniej sowiecki system represji, podlany do tego nacjonalizmem wielkoruskim, musimy odwoływać się do idei Sierpnia `80. Bo naród rozumiany jako wspólnota polityczna potrzebuje elementu spajającego, którym jest solidarność. Tak samo na poziomie europejskim potrzebujemy solidarności, by ochronić naszą wspólnotę nie tylko interesów, ale przede wszystkim wartości. I tu pojawia się kluczowe pytanie o to, czym jest solidarność? Ksiądz Józef Tischner w „Etyce solidarności", nawiązując do paradyg-matu ewangelicznego, mówił o wspólnym niesieniu brzemienia, czyli wzajemnej odpowiedzialności za siebie. Taka postawa wymaga wzniesienia się ponad nasz egoizm, nasze partykularne interesy. Ma to wymiar zarówno indywidualny, jak i zbiorowy.

Dr hab. Arkadiusz Łukasz Modrzejewski

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Profesor Uniwersytetu Gdańskiego (ur. w 1976 r.), politolog, dyrektor Instytutu Politologii Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego. Doktorat z nauk o polityce uzyskał w 2003 roku na UG, habilitację zaś w 2014 r. Specjalizuje się w filozofii i teorii polityki, katolickiej myśli politycznej, relacjach religia – polityka oraz wartościach europejskich. Autor książki o uniwersalistycznej wizji ładu światowego w optyce Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Członek Instytutu Kaszubskiego, a także Rady Konsultacyjnej do spraw Odporności na Dezinformację Międzynarodową przy Ministerze Spraw Zagranicznych.

REKLAMA 0211461412

eprasa.pl 2c5aa58040

SZKOLNE STOŁÓWKI

Mniej mięsa, więcej strączków. Rewolucja w stołówkach szkolnych i przedszkolnych

Od 1 września wchodzi nowe rozporządzenie ministra zdrowia dotyczące żywienia dzieci w placówkach oświatowych, wprowadzające m.in. obowiązkowy obiad roślinny raz w tygodniu. Z jadłospisów zniknie żywność wysoko przetworzona, a pojawi się więcej produktów strączkowych. O tych zmianach rozmawiamy z ekspertką od diet roślinnych Katarzyną Gubałą, która w tym tygodniu szkoliła 200 intendentów i kucharzy z podlaskich placówek oświatowych

Urszula Śleszyńska

Od 1 września wchodzi rozporządzenie ministra zdrowia, które zakłada zmiany w jadłospisach w szkolnych i przedszkolnych stołówkach.

Główna zmiana jest taka, że wchodzi jeden roślinny posiłek w tygodniu, oparty na białku roślinnym. Mamy tu soczewicę, ciecierzycę, soję, bób czy fasolę. I z tych składników możemy komponować różne dania. Podczas spotkań z kucharzami, kucharkami i intendentkami ze stołówek przedszkolnych i szkolnych przekonuję, że ta zmiana nie musi być super radykalna. Czyli na przykład jeśli robimy placki ziemniaczane i dzieciaki lubią do tego leczo, to po prostu do tego leczo dorzućmy – na początek – trochę ciecierzycy. Jak dzieci lubią łazanki, to do makaronu i kapusty z pieczarkami dorzućmy trochę żółtej soczewicy, która nam się praktycznie rozgotuje i nie będzie jej ani widać, ani czuć, a będziemy mieli fajne danie z białkiem roślinnym.

Kucharkom i kucharzom z podlaskich szkół i przedszkoli pokazywałaś też, jak zrobić budyń czekoladowy oparty na kaszy jaglanej.

Tak, chciałam pokazać, że można zrobić zdrowe słodycze w bardzo prosty sposób i jeszcze ukryć przed dziećmi kaszę, która potencjalnie „kole w ząbki" (śmiech). Używamy kakao, używamy kaszy, gotujemy to na napoju roślinnym, żeby to był roślinny posiłek. Jak robię warsztaty kulinarne dla kucharek czy kucharzy, to zawsze uczę ich prostych rzeczy, że na przykład da się zrobić naleśniki nie używając... jajek ani mleka. I też wychodzą smaczne i zdrowe. I do tego wegańskie! A jak do tych naleśników roślinnych dołożymy nieco twarożku z tofu albo twarożku z namoczonych orzechów czy słonecznika, to już mamy super fajne naleśniki z nadzieniem. A jak zrobimy troszeczkę mniejsze wersje, to wtedy mamy świetne pankejki. Ale żeby te pankejki były puszyste, używamy np. napoju sojowego. I wtedy są fajne, mięciutkie. Więc to nie jest tak, że ta kuchnia roślinna, wegańska, jest jakaś bardzo skomplikowana. Po prostu krok po kroku trzeba spróbować troszeczkę się na nią odważyć. Natomiast – co jest ważne i co często powtarzam – mięso nam nie szkodzi. To nie jest tak, że coś jest z nim nie w porządku.

FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Katarzyna Gubała gotuje w telewizyjnym programie „Pytanie na śniadanie", jest ekspertką od diet roślinnych, wegańskich, autorką wielu książek kulinarnych i ambasadorką Maspex Polska

To na czym polega problem z mięsem?

Na tym, że trudno nam znaleźć w dzisiejszych czasach dobry jakościowo produkt. I to jest ten problem, że tak naprawdę karmimy dzieci mięsem od rana do wieczora, ale ono nie jest dobrej jakości. Sami wiemy, jakie rzeczy możemy znaleźć w szynce, czy jak długi potrafi być skład parówek, które serwujemy maluchom. Nie zawsze ta pierś z kurczaka będzie odpowiednia dla dzieciaków, jeśli znajdą się tam antybiotyki czy hormony wzrostu. Tymczasem posiłki wielu dzieci opierają się na mięsie. No i jeszcze na glutenie z mąki, czyli wchodzi tu pizza, makaron i pierogi. Czyli te dzieci nie dostają żadnych wartości odżywczych, które mogłyby czerpać z warzyw, owoców czy z białka roślin. A tymczasem warto przyjrzeć się temu, jak jedli nasi dziadkowie i nasze babcie.

A jak jedli?

Mięsa było niewiele, bo mięso było rarytasem. Ale przy tym było dobrej jakości. Jedli przede wszystkim fasolę, soczewicę, a do tego różne rodzaje kaszy – kaszę gryczaną, pęczak, jaglaną. I do tego ziemniaki. To była podstawa wyżywienia. Jedli też różne sezonowe warzywa i kiszonki, o których czasami zapominamy i nie bardzo chcemy je jeść. A przecież tego typu dieta jest bardzo zdrowa i dostarcza nam dużo wartości odżywczych. Zdecydowanie więcej niż ta oparta wyłącznie na glutenie i kiepskiej jakości produktach. Więc jak się zastanawiamy, jak zdrowo jeść, to zapytajmy babcię i dziadka, co zazwyczaj jadali.

Ale chyba w polskich domach już widać tę zmianę – Polacy nie podchodzą już do kuchni roślinnej jak do przysłowiowego jeża.

Tak, widać zmianę. Rzeczywiście jesteśmy coraz bardziej otwarci na nowinki. To jest plus i minus, bo z jednej strony jesteśmy otwarci na kuchnię roślinną, kuchnię planetarną, jesteśmy w stanie bez problemu zjeść hummus czy smalec z fasoli,

eprasa.pl 2c5aa58040

ale z drugiej strony jemy też kiepskie produkty, na które przychodzi do nas moda z Zachodu, które mają bardzo długie składy. A naprawdę warto czytać składy tego, co zamierzamy zjeść, bo możemy się zdziwić, co jest w środku, jak dużo jest tam różnego rodzaju utwardzonych tłuszczów, tłuszczów trans, jak dużo jest tam chemii. A przecież wystarczy parę minut i można wyczarować naprawdę dobre jedzenie.

Jak to zrobić?

Trzeba odłożyć komórkę. To po pierwsze i najważniejsze. Trzeba przestać scrollować, co tam u sąsiadów, znajomych i w social mediach, i poświęcić trochę czasu na kuchnię. To jest zdrowie nasze, naszej rodziny, naszych dzieci. I to zaprocentuje. Mniej potem wydamy na opiekę medyczną i na różnego rodzaju medykamenty. Taki kwadrans w kuchni to jest swego rodzaju inwestycja. Jakiś czas temu prowadziłam we Wrocławiu warsztaty z dzieciakami. Pomysł na początek był taki, że chcieliśmy znaleźć idealne menu restauracyjne dla dzieci, żeby to nie były wyłącznie nuggetsy i frytki oraz burgery. I pytaliśmy dzieci, co chcą jeść i co jedzą w ciągu dnia, nie tylko w restauracji. I pojawił się smutny wniosek. Okazało się, że dzieci przede wszystkim bardzo chciałyby gotować ze swoimi rodzicami, a rodzice nie mają dla nich czasu. I to zadeklarowało aż 98% dzieci! Jak pytaliśmy o to rodziców, mówili, że nie gotują wspólnie, bo dzieci robią bałagan w kuchni. Więc proponuję, żebyśmy wszyscy razem nie tylko gotowali, ale też sprzątali tę kuchnię. To, co możemy od serca naszym dzieciom podarować, to jest wspólny czas przy stole, w kuchni, czy gdzieś na podwórku. I ten czas jest bardzo cenny.

Podczas wspólnego gotowania warto dzieci nauczyć chociażby zasady zdrowego talerza, prawda?

Tak, oczywiście, to jest kolejna ważna rzecz. Dzieci i młodzież jedzą coraz gorzej. I jak je przekonać, jak je nauczyć trochę innego żywienia? Wzorzec idzie od góry, czyli od rodziców. Jeśli rodzice nie jedzą warzyw i owoców, jeżeli nie smakują im pomidory czy ogórki, to niestety dzieci tak samo będą grymasić. A to dlatego, że obserwują swoich rodziców. Jeżeli wspólnie będziemy jeść kaszę, strączki, różnego rodzaju warzywa i owoce, to myślę, że cała rodzina będzie zdrowsza.

FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Dieta ma ogromny wpływ na to, jak będzie wyglądało nasze zdrowie – mówi Katarzyna Gubała

Twierdzisz, że dieta roślinna nie jest ani radykalna, ani trudna, ani czasochłonna. Trzeba tylko znaleźć swój rytm. Jak to zrobić?

Najważniejsza rzecz, na początek, to przegląd naszej spiżarni. Trzeba zobaczyć, co mamy na półkach i w szufladach i odpowiednio się zaopatrzyć. Potrzebujemy przede wszystkim fasoli, ciecierzycy, grochu, soczewicy, ryżu i różnych rodzajów kaszy. Do tego oczywiście przyda nam się mąka i makaron. To jest zaopatrzenie spiżarni każdego wegetarianina czy wegana. I od tego zaczynamy czarować. Kuchnia roślinna jest bardzo prosta. Wystarczy czasami fasola czy też ciecierzyca, żeby wyczarować jakieś ciekawe danie. Takim najprostszym przykładem, który często podaję, jest tofu.

I co można z niego wyczarować?

Większość ludzi z dużym dystansem podchodzi do tofu. Ono jest mdłe, nie ma smaku, więc nie wiemy, co z nim zrobić. I teraz kuchnia roślinna daje nam niesamowite możliwości, bo to jest kuchnia bardzo kreatywna. Bierzemy tofu, możemy pokroić je w kostkę, zanurzyć na przykład w soku pomarańczowym i będziemy mieli za godzinę, dwie – jak się namoczy – bardzo ciekawy serek pomarańczowy. Tofu można też zblendować, a jak ktoś chce – może dołożyć do niego na przykład trochę rodzynek i ewentualnie cukru waniliowego i będzie miał serek na słodko. Tofu możemy też zanurzyć chociażby w barszczu czerwonym i wtedy mamy, po pierwsze, różowe tofu, a po drugie to tofu – jak je sobie pomarynujemy – będzie miało smak barszczu. Możemy na przykład je dołożyć do kaszotta z gruszką i pietruszką i będzie miało smak buraczków, a będzie tak naprawdę mocnym białkiem roślinnym, które odżywi nam mięśnie. A kiedy sobie tofu rozdrobnimy, odpowiednio posolimy i dodamy podsmażonej cebulki i może trochę kurkumy dla koloru, to nam wyjdzie tofucznica, czyli jajecznica bez jajek.

A jak na przykład do rozdrobnionego tofu dołożymy cukier wanilinowy, to będziemy mogli zrobić tofurnik, który zastąpi nam sernik . Czyli tak naprawdę mamy jeden produkt, który możemy użyć na wiele sposobów. Tofu to jest esencja kuchni roślinnej, jeśli chodzi o tworzenie przeróżnych dań. Idąc dalej – mamy na przykład ciecierzycę...

I co z niej możemy zrobić?

Bardzo fajny pasztet! Albo możemy jej użyć do różnego rodzaju gulaszy. Z kolei wodę po tej ciecierzycy, czyli aquafabę, możemy użyć albo do przygotowania roślinnego majonezu, albo na przykład do zrobienia bezy roślinnej. Normalnie tę wodę wyrzucamy czy wylewamy, a tutaj – bez marnowania, czyli w ramach diety planetarnej – możemy robić tego typu rzeczy. Wydaje mi się, że na początek trzeba troszeczkę pokombinować. Śmieję się, że musimy wyjść ze swojego pudełka i zobaczyć, jak szeroko można tę kuchnię roślinną stosować. A później już pójdzie. Będziemy wiedzieć, że soczewicy możemy użyć zamiast ciecierzycy albo na przykład zamiast fasoli. A to już nam pozwoli na używanie wyobraźni w tworzeniu dań.

A jak zaczęła się twoja droga z dietą roślinną?

Byłam na spotkaniu z profesorem Colinem Campbellem z Uniwersytetu Cornella. To było spotkanie z lekarzami. Profesor pokazywał slajdy i badania, gdzie tłumaczył, w jaki sposób można włączać i wyłączać niektóre bardzo poważne choroby właśnie regulowaniem diety. Podawał przykłady od alergii po niektóre nowotwory, czy nawet cukrzycę w początkowych stadiach. Okazało się, że naukowcy badając ludzi doszli do wniosku, że dieta ma naprawdę ogromny wpływ na to, jak będzie wyglądało nasze zdrowie i ile dolegliwości będziemy mieli. Zaczęłam więc zagłębiać się w ten temat. Okazało się, że rzeczywiście tak jest, że warto zwracać uwagę na składy, warto przygotować sobie samemu posiłek, warto karmić zdrowo rodzinę. W „Pytaniu na śniadanie" często opowiadam o tym, że właściwie większość roślin, które nas otaczają, jest jadalna. I warto próbować różnego rodzaju ziół, warto dorzucić do sałatki trochę mniszka, krwawnika czy na przykład zobaczyć, jakie działanie ma koniczyna. Warto stosować miętę czy melisę w codziennym życiu. W Polsce mamy bogactwo roślin, więc w kuchni ogranicza nas tylko i wyłącznie wyobraźnia.

Wróćmy na chwilę do szkoły i tego, jakie zmiany czekają uczniów od 1 września. Obejmą one bowiem nie tylko stołówki, ale też sklepiki szkolne.

Sklepiki szkolne to jest trudny temat, ponieważ to jest kwestia tego, jak podejdą do niego rodzice, nauczyciele, dzieci i szkoła. Jeśli produkty na półkach w sklepiku będą wyglądały bardziej zdrowo i będzie tam więcej atrakcyjnych dla dzieci rzeczy, a przy tym zdrowych, to super. Jednak wydaje mi się, że starsze dzieciaki i tak niestety wyjdą na przerwie ze szkoły i kupią coś w pobliskim sklepie. Więc to nie rozwiązuje problemu. Problemem tak naprawdę jest świadomość dzieci. Mamy początek roku szkolnego i myślę, że dobrym pomysłem byłoby, aby dyrektorzy szkół porozmawiali z nauczycielami, poprosili ich o lekcje edukacyjne dotyczące tematu kuchni roślinnej i jej składowych: fasoli, ciecierzycy, soczewicy, warzyw i owoców. Może warto byłoby zorganizować proste warsztaty kulinarne dla uczniów? Niech dzieci robią kulki mocy i je zjadają! To naprawdę nie są duże koszty i tak naprawdę każdą Radę Rodziców byłoby stać na proste warsztaty kulinarne z nauczycielem. Niech ci nauczyciele zrobią fajne lekcje edukacyjne, ale też niech porozmawiają z rodzicami podczas pierwszych zebrań we wrześniu, że jest taka zmiana i żeby sami rodzice też troszeczkę inaczej podeszli do kuchni w domu. Jeżeli popracujemy nad tą zmianą systemowo, to może się udać. Ale jeżeli to będzie tylko takie puste rozporządzenie ministerialne, to niczego to nie wniesie, bo dzieciaki dalej będą jadły tak jak wcześniej.

Kiedy dwa tygodnie temu szkoliłam intendentki w Gdańsku, jedna pani bardzo ładnie to wszystko podsumowała. Powiedziała, że gdyby dzieci w Polsce jadły tylko na stołówce szkolnej czy przedszkolnej, to nie ma szans, by miały jakieś problemy z otyłością. Stołówki mają naprawdę wyśrubowane standardy i ciekawe menu. Problem pojawia się, kiedy dzieci wychodzą ze szkoły... Problem tkwi w tym, co one wtedy zaczynają jeść.

eprasa.pl 2c5aa58040

BEZPIECZEŃSTWO I PRAWO

Maski na orliku. Jak kibolska wojna dotarła do spokojnego Unisławia

Szesnastu zamaskowanych mężczyzn wpada na orlik. Świadkami brutalnego pobicia są dzieci bawiące się na sąsiednim placu zabaw. W Unisławiu od miesięcy przybywało sygnałów, że konflikt znany dotąd z toruńskich ulic przeniósł się do miejscowości liczącej 3400 mieszkańców

Adam Willma

FOT. ADAM WILLMA

Dariusz Traczyk, sołtys Unisławia i szef miejscowej OSP: - Rodzice opowiadali, że kilkoro dzieci nie może spać po tych wydarzeniach, na wspomnienie reagują płaczem

Tabliczka z napisem „Sołtys" bawi przyjezdnych. Bo liczący 3,4 tys. mieszkańców Unisław nadal udaje wieś, choć w rzeczywistości jest miasteczkiem z pokaźnymi budynkami, a nawet wielkomiejskimi kamienicami. Całość poprzetykana gustownymi sklepikami i punktami usług. Miejscowa Biedronka ma jedne z największych obrotów w regionie, więc teraz swojej szansy szuka tu Lidl.

Do Torunia jest z Unisławia niespełna 30 kilometrów, tak samo jak do Bydgoszczy. Więc każdego dnia o świcie do skłóconych ze sobą aglomeracji ruszają dwa korowody pracowników. Przez całe dekady Unisław żył swoim życiem - spokojnym, skupionym na własnych sprawach.

W miejscowym kościele kilka kobiet zatopionych w modlitwie. Na nieodległej promenadzie emeryt z wnuczką patrzą na rozciągający się stąd pejzaż na pradolinę Wisły.

Siedemdziesiąt sekund

Było przed godz. 20. Na boisku i placu zabaw przebywało kilkadziesiąt osób. Dzieci grały w piłkę i zjeżdżały tyrolką. Na części obiektu trenowali młodzi mężczyźni związani z miejscową sekcją sportów walki.

Pod orlik podjechały 3 samochody z zamaskowanymi tablicami rejestracyjnymi. Z aut wysypało się 16 osób w białych kominiarkach. Interesowało ich tylko kilku wybranych spośród kilkunastu ćwiczących mężczyzn. Najpierw gaz, później brutalna egzekucja. Napastnicy użyli kastetów, jednego z leżących skopali.

Policja mówi o 4 poszkodowanych osobach. A ściślej – potencjalnie pokrzywdzonych, bo poszkodowani odmówili wyjazdu do szpitala. Nie potwierdzili, aby ich obrażenia związane były z wydarzeniami na orliku.

Wszystko trwało minutę i dziesięć sekund - mówi Jakub Danielewicz, wójt Unisławia. - Obecny na miejscu pracownik gminy wezwał policję.

To przerwało akcję.

Pan Stanisław, opiekun obiektu, rzucał właśnie z dzieciakami do kosza. Gdy bandyci wbiegli na orlik, zdążył otworzyć drugie wyjście. Najmłodsi skryli się za jego plecami.

Policjanci zabezpieczyli zapis z siedmiu kamer. Prowadzą postępowanie w kierunku „czynnego udziału w zbiegowisku". Żart?

- Kwalifikacja może się zmienić, jeśli pojawią się dowody pobicia lub uszkodzenia ciała - mówi Monika Chlebicz, rzeczniczka Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy. - Za ten czyn grozi do trzech lat więzienia. Oczywiście, że mamy dużą wiedzę operacyjną. Problem w takich sprawach polega na przełożeniu wiedzy operacyjnej na materiał procesowy. Potrzebne są dowody, w tym zeznania osób pokrzywdzonych. Policjant może widzieć na monitoringu kopnięcia, ale bez badania lekarskiego i zeznań nie ustali skutków każdego ciosu. Nie możemy zmusić osoby pokrzywdzonej do poddania się badaniu przez biegłego. Jeżeli mówi, że nic się nie wydarzyło, możliwości procesowe są ograniczone - tłumaczy Chlebicz.

Przekładając na język stadionowy: z psami się nie rozmawia.

Dariusz Traczyk, sołtys Unisławia i szef miejscowej OSP: - Rodzice opowiadali, że kilkoro dzieci nie może spać po tych wydarzeniach, na wspomnienie reagują płaczem. Widok zamaskowanych ludzi, którzy wpadają na boisko i biją innych, był czymś, z czym wcześniej się nie zetknęły.

Najpierw był trening

Ironią losu jest, że trener kickboxingu z Bydgoszczy został zaproszony do Unisławia, żeby w atrakcyjny sposób zaktywizować młodych ludzi, odciąć ich od smartfonów, zmotywować tych snujących się po ulicach. Po pewnym czasie trener z Bydgoszczy zrezygnował, ale namaścił następcę spośród wychowanków. Treningi przejął Adrian Drzewiecki (personalia zmienione), a w czerwcu oficjalnie zarejestrowane zostało stowarzyszenie.

Bokserzy z impetem zadomowili się w Unisławiu. Na ulicach pojawiły się plakaty w estetyce gal MMA. Przez około trzy miesiące sekcja korzystała z gminnej hali, ale wójt zażądał dokumentów potwierdzających kwalifikacje trenerskie oraz sprawdzenie osób pracujących z dziećmi. Drzewiecki zapewniał, że posiada certyfikaty, nie przedstawił ich jednak podczas spotkania w urzędzie. Rozmowa toczyła się w napiętej atmosferze i zakończyła się gwałtownie. Bokser oświadczył, że musi wyjść, bo nie wytrzyma nerwowo, a następnie złożył skargę na wójta. Wszyscy w Unisławiu wiedzą, że Adrian Drzewiecki ma krótki lont.

W skardze Drzewiecki zarzucił Danielewiczowi bezpodstawne oskarżanie go o wandalizm oraz rozpowszechnianie krzywdzących informacji - jakoby klub demoralizował dzieci i służył działalności przestępczej związanej z narkotykami. Domagał się też przywrócenia dostępu do gminnych obiektów.

Wójt nie zamierza się wycofywać: -Nie godzę się, żeby klub szkolący dzieci w gminnym obiekcie nie poddawał się weryfikacji. Sporty walki mogą wychowywać, ale mogą też stać się zapleczem do bójek. Gmina nie może udawać, że tego ryzyka nie widzi.

Spór z urzędem wypchnął treningi na orlik.

To obiekt ogólnodostępny, nie trzeba podpisywać umowy ani przedstawiać instruktorowi dokumentów. Właśnie tam 19 sierpnia napastnicy zastali ludzi związanych z sekcją.

Elana to trzecioligowy klub piłkarski z Torunia. Nawet w Toruniu jednak rzadko kto kojarzy nazwiska piłkarzy, wszyscy natomiast kojarzą kibiców Elany. Bo Elana to wyznanie wiary. W tej religii rolę szatana odgrywa nie tylko wrogi Zawisza Bydgoszcz, ale - o ironio - toruński klub żużlowy Apator.

W tej teologii są również anioły:

„W 2016 roku Widzew i Elana znalazły się w ogólnopolskim układzie chuligańskim, w skład którego weszły także Ruch oraz krakowska

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl 2c5aa58040

FOT. MONITORING MIEJSKI

18 czerwca na ul. Osiedlowej w Złejwsi Małej pojawili się zamaskowani mężczyźni. Na nagraniach widać, że trzymają przedmioty przypominające maczety

Wisła. Grupa ta otrzymała skrót WRWE, pochodzący od pierwszych liter nazw wszystkich ekip" - czytamy w witrynie kibicowskiej Widzewa.

Trzy lata temu przy unisławskim dworcu pojawiło się graffiti z symbolem Elany. Z roku na rok coraz więcej młodych ludzi nosi symbole kojarzone z toruńskim klubem.

Na przełomie maja i czerwca podczas meczu B-klasy w Unisławiu odpalono race. Doszło do szarpaniny z policją. Przed kolejnym spotkaniem służby potraktowały niewielki stadion jak obiekt podwyższonego ryzyka.

Mecz zabezpieczało 54 policjantów, trzech pracowników ochrony i czterech strażaków. - Był dron i cztery psy - nie kryje poirytowania wójt. - Wcześniej czegoś takiego u nas nie było.

Elana przeciw wszystkim

W 2018 roku jeden z liderów Młodej Elany udzielił obszernego wywiadu serwisowi Stadionowi Oprawcy. Opowiadał o treningach grupy, walkach z innymi ekipami, konfliktach z kibicami Apatora i Zawiszy oraz wewnętrznym rozłamie: „Idziemy w kierunku chuligańskim, chcemy się bić". Celem miało być wychowywanie kolejnego pokolenia.

Z Zawiszą sprawa była prosta. Toruń i Bydgoszcz dzieli stary antagonizm, wzmacniany każdym meczem. Policja dmucha na zimne, więc przed meczami przez miasto przejeżdża ciąg radiowozów. Policja przeszukuje samochody, próbuje nie dopuścić do ustawki.

Z czasem jednak konflikt przesunął się do wnętrza samego środowiska Elany. Jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci został Damian Zawadzki (personalia zmienione), który w przeszłości reprezentował Młodą Elanę. Zawadzki jest dziś znanym zawodnikiem gal freak fightowych, organizował też walki drużynowe.

W grudniu 2023 Grupy Kibicowskie Elany Toruń publicznie się od niego odcięły. Walki drużynowe nazwano jego prywatnym przedsięwzięciem, a nie organizacją kibiców Elany. Napięcie rosło, aż w 2025 r. publiczne przepychanki przerodziły się w otwarty konflikt z ludźmi opisywanymi jako Młoda Elana.

Podgórska, Kuranty, Zławieś

W październiku 2025 r. przy ul. Podgórskiej w Toruniu doszło do bójki. Następnego dnia policja zatrzymała osoby w wieku 15, 28 i 29 lat. W samochodzie i mieszkaniach znalazła maczety, petardy hukowe oraz przedmioty przypominające broń. „Zatrzymani byli związani ze środowiskiem pseudokibiców jednego z miejscowych klubów" - napisano w komunikacie.

Prokuratura podała, że w bójce uczestniczył m.in. Damian Z. (personalia zmienione). Dwaj dorośli usłyszeli zarzuty udziału w bójce z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Nie przyznali się do zarzucanego czynu.

15 maja 2026 r. przed północą grupa mężczyzn weszła do restauracji Kuranty na Rynku Staromiejskim. Skierowali się do stolika, przy którym siedziało czterech klientów. Doszło do awantury i przepychanek. Na nagraniu z monitoringu widać rozpylany gaz i przedmiot przypominający maczetę. Goście w panice uciekali z sali. Policja zatrzymała dwóch mężczyzn, którzy usłyszeli zarzuty „czynnego udziału w zbiegowisku".

Media społecznościowe szybko przypisały obie strony do skonfliktowanych kręgów dawnej Elany. Ostatecznie właściciel lokalu nie złożył zawiadomienia o zniszczeniach. Według informacji zebranych przez nas, straty zostały pokryte przez ludzi związanych z uczestnikami zajścia.

18 czerwca na ul. Osiedlowej w Złejwsi Małej pojawili się zamaskowani mężczyźni. Na nagraniach trzymają przedmioty przypominające maczety. Słychać huki interpretowane w internecie jako strzały. W okolicznym bloku w szybie pozostały ślady po pociskach. Prokuratura Rejonowa Toruń Centrum-Zachód wszczęła śledztwo dotyczące udziału czterech osób w zbiegowisku. Nie potwierdziła jednak użycia broni palnej (użyto prawdopodobnie broni pneumatycznej) ani przynależności uczestników do konkretnej grupy.

Z informacji uzyskanych nieoficjalnie wynika, że policja sprawdza wątek konfliktu wewnątrz dawnego środowiska Elany.

Obawiam się, że może przylgnąć do nas łatka sportowych patologii. Jeszcze jedna, dwie takie sytuacje i ludzie będą się bali wyjść wieczorem z domu

DARIUSZ TRACZYK
sołtys

Narkotyki i rękawice

Socjologowie badający środowiska pseudokibiców już przed laty zauważyli, że sporty walki są sposobem budowania pozycji w tym środowisku. A gale na gołe pięści oraz freak fighty pozwalają przekuć uliczną rozpoznawalność w legalne pieniądze. Na freak fightowych walkach uczestnicy wychowani na klubowych ustawkach stanowią znaczącą część.

Tu pojawia się jeszcze jeden wątek. Policyjne statystyki od lat pokazują, że przy sprawach dotyczących pseudokibiców dominują przestępstwa narkotykowe. W 2021 CBŚP zatrzymało pięciu mężczyzn podejrzanych o wprowadzenie na rynek ponad 1,5 tony narkotyków. W całym śledztwie było 41 podejrzanych i 105 zarzutów. Według CBŚP gang tworzyły głównie osoby powiązane z pseudokibicami różnych klubów. Działania prowadzono między innymi w Toruniu.

Nie był to jedyny taki przypadek. W 2019 r., po meczu Elany Toruń z Olimpią Elbląg, policja zatrzymała pięciu mężczyzn podejrzewanych o naruszenie przepisów dotyczących imprez masowych. Podczas późniejszego zatrzymania jednego z nich funkcjonariusze znaleźli w samochodzie prawie 3 kilogramy amfetaminy. Dwie osoby miały odpowiedzieć również za przestępstwa narkotykowe. W październiku 2022 r. jeden z pseudokibiców został skazany na pięć lat i sześć miesięcy więzienia za udział w obrocie co najmniej 300 kilogramami marihuany.

Wśród zatrzymanych znalazł się również Kamil K. (personalia zmienione), kojarzony ze środowiskiem Elany i znany z walk w Gromdzie (organizacji promującej walki na gołe pięści). Prokuratura zarzuciła zatrzymanym obrót znacznymi ilościami marihuany, a dwóm także udział w zorganizowanej grupie przestępczej.

Nieoficjalnie policjanci twierdzą, że symbole Elany to przykrywka w walce o podział narkotykowych rewirów.

Ogniem i maczetą

Miesiąc przed napadem na orlik, około godz. 2 w nocy, na jednej z posesji w Unisławiu spłonęło Volvo V40. Samochód stał w wiacie tuż przy domu, więc ogień objął daszek, a potem tuje przy granicy posesji. Sąsiedzi mówią o uszkodzonej bramie oraz materiale nasączonym substancją łatwopalną.

Właściciele nie chcą rozmawiać o pożarze. Wiadomo, że posesja należała wcześniej do Adriana Drzewieckiego (personalia zmieniono), z którym są związani rodzinnie. Poprzedni mieszkaniec również jeździł Volvo. We wsi mówi się, że do podpalenia auta przy ulicy - nomen omen - Spokojnej doszło przez nieporozumienie.

Zaboleć miało Drzewieckiego.

Z dymem poszło auto o wartości około 50 000 zł. Właściciele nie odzyskają pieniędzy, bo nie mieli autocasco.

Dyżur posterunkowego

Posterunek Policji w Unisławiu mieści się kilkadziesiąt metrów od urzędu gminy. Funkcjonariusz dyżuruje tu zaledwie 8 godzin dziennie. Kierownik posterunku przyjmuje mieszkańców w poniedziałki od godz. 10 do 14. Dwaj dzielnicowi obsługują nie tylko Unisław, lecz także gminę Kijewo Królewskie. Kiedy nie odbierają telefonów, mieszkańcy mają dzwonić do dyżurnego Komendy Powiatowej w Chełmnie.

Niedawno propozycja przekształcenia Unisławia w miasto została odrzucona przez mieszkańców - nie kryje rozgoryczenia wójt. - A ta zmiana dałaby nam szansę na komisariat i kilkanaście etatów policyjnych. Musimy liczyć na policję, bo sami nie damy sobie rady. Sprawa jest zbyt poważna. Na razie to lokalne rozgrywki wewnątrz kibolskiego środowiska, ale cały czas myślę o tym, czy kolejną ofiarą nie będzie dziadek z wnuczką, którzy przyszli na orlik.

Sołtys nie kryje rozgoryczenia tym, co stało się z Unisławiem:

- Przez wielu jesteśmy postrzegani jako spokojna oaza, w której warto zamieszkać, jeśli chce się odetchnąć od miasta - mówi Dariusz Traczyk. - A jednocześnie wszystkie najważniejsze dla życia sprawy są na wyciągnięcie ręki. Nic dziwnego, że ceny nieruchomości szły w górę. A teraz ludzie zastanawiają się, czy takie sytuacje będą się powtarzały. Obawiam się, że może przylgnąć do nas ta łatka sportowych patologii. Jeszcze jedna, dwie takie sytuacje i ludzie będą się bali wyjść wieczorem z domu. Do tej pory można było spokojnie spacerować, nawet po zmroku. Było miło, przyjemnie i bezpiecznie. A teraz nawet na taką spokojną wieś przyszedł zamęt z miasta. Jeżeli te grupy dalej będą prowadziły taką walkę, ludzie zaczną się zamykać w domach. Jak w mieście.

A końca walki nie widać. Na razie mamy przerwę techniczną, bo pobici na orliku liżą rany. Najdotkliwiej kastetem potraktowano Drzewieckiego. ©℗

eprasa.pl 2c5aa58040

SZTUKA

Z Bytomia do Wenecji jedzie ze swoją instalacją. Tworzy w lokomotywowni

W dawnej lokomotywowni w Bytomiu Michał Rejner od dwóch lat ma swoją pracownię. Do tego miejsca przyciągnął też innych: spragnionych sztuki, pasjonatów kultury poprzemysłowej i kultury fizycznej. W planach ma rewitalizację budynku głównej hali i łaźni oraz Mobilną Galerię Sztuki w dawnym Żuku. Założył też fundację. Zmienia świat dawnego przemysłu w przestrzeń sztuki

Magdalena Nowacka-Goik

Dwa lata temu otworzyłeś swoją pracownię rzeźby w zrewitalizowanej lokomotywowni Warsztatów Naprawczych GKW w Bytomiu-Rozbarku. To nie miał jednak być azyl, cel był taki, aby ożywić to miejsce, przyciągnąć fajnych, twórczych ludzi. Udało się?

Proces aktywizacji trwa, trzeba promować, działać, ale i być cierpliwym. Oczywiście dzieje się tu coraz więcej, cały czas rodzą się pomysły. Jestem otwarty i chętny na współpracę, ta deklaracja nie zmieniła się. Zależy mi jednak, aby te działania były w jakiś sposób związane ze sztuką, kulturą, ale i kulturą fizyczną, która mimo mojego artystycznego zawodu jest mi bliska, bo skończyłem studia na AWF-ie.

Stąd na przykład joga na trawie przed otwartym wejściem do pracowni?

Dokładnie. Nie chcemy jednak komercjalizacji przestrzeni. Kiedy otwierałem pracownię i deklarowałem chęć współpracy, nie spodziewałem się aż takiego odzewu. Dlatego myślę, aby rozszerzyć to miejsce, bo jednak jest ono pracownią i każde wydarzenie, inicjatywa podejmowana na tym terenie, wiąże się z tym, że muszę ją przygotować. Czasem bywa to nieco skomplikowane, bo w różnych miejscach stoją moje rzeźby – zazwyczaj w trakcie tworzenia – i muszę je przenieść, zabezpieczyć itp.

Chyba trudno samemu łączyć własną pracę twórczą ze wsparciem innych działań artystyczno-społeczno-kulturalnych?

Dlatego do tych zadań specjalnych założyłem Rejner Art Foundation. I nie jestem w niej sam, mam też nadzieję, że będzie się rozrastała. Cele są dwa: upowszechnianie i wspieranie sztuki, a drugi to rewitalizacja tych terenów. Po lokomotywowni, gdzie mieści się pracownia, przejęliśmy dawny budynek łaźni i szatni, gdzie ma powstać strefa stricte pod organizację warsztatów artystyczno-rzemieślniczych i innych działań, o których jeszcze na ten moment nie chcę szczegółowo mówić. Zacząć musimy oczywiście od kompleksowej rewitalizacji, wyremontować budynek. Część mojej pracowni też zostanie tam przeniesiona. Chcemy przy tym zachować dawne struktury związane z pierwotnym przeznaczeniem budynku, czyli umywalki i prysznice, tylko już z nową funkcją. Walczymy też o główną halę. Ostatnio, w uzgodnieniu z miastem oraz Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, udało się pozyskać środki z programu „Wspólnie dla dziedzictwa" Narodowego Instytutu Dziedzictwa i będziemy porządkować tę przestrzeń. Działania w projekcie „Warsztaty odzyskane. Społeczna opieka nad halą napraw wagonów GKW w Bytomiu" planujemy w czasie Europejskich Dni Dziedzictwa już we wrześniu.

FOT. MAGDALENA NOWACKA-GOIK

Michał Rejner pokaże swoją instalację w listopadzie w Wenecji

FOT. ALEKSANDRA STASZCZYK

Dawne Warsztaty Naprawcze Górnośląskich Kolei Wąskotorowych w Bytomiu-Rozbarku dziś tworzą niecodzienną przestrzeń

Kiedy podglądam główną halę przez szybę, robi wrażenie jakiejś postapokaliptyczno-fantastycznej przestrzeni, z tą dziką roślinnością sąsiadującą z metalowymi elementami, a wszystko skryte pod dachem.

Tak, faktycznie robi to wrażenie, ale musimy mieć świadomość, że taka, jaka jest obecnie, nie jest bezpieczną przestrzenią. Będziemy ją porządkować i zabezpieczać szklane naświetla, aby nie stanowiły już zagrożenia oraz żeby do środka nie przedzierał się deszcz czy śnieg. Chcemy przygotować halę pod ekspertyzy budowlane i późniejsze projekty. To proces długofalowy, ale plan jest taki, aby doprowadzić do pełnej rewitalizacji wspomnianych budynków, jak również przestrzeni wokół.

To w gestii działań Fundacji, a co z działaniami artystycznymi Michała Rejnera?

Kontynuuję projekt rzeźbiarsko-społeczny „Piersi", który zacząłem w ubiegłym roku ze Stowarzyszeniem Amazonek i który był prezentowany w Senacie. Tworzę kolejne rzeźby wpisujące się w to przesłanie. Przygotowuję się do aukcji sztuki w Polswiss Art w Warszawie, która będzie we wrześniu, w stolicy będę też prezentował swoją ekspozycję. W listopadzie wyjeżdżam do Wenecji, gdzie zostanie pokazana jedna z moich instalacji (ale z innego projektu).

Będziesz ambasadorem sztuki Bytomia i Polski?

Dokładnie. Finiszuję też z projektem Mobilnej Galerii Sztuki. Kończymy remont Żuka z 1989 roku, którego część będzie tworzyła przeszklona bryła, w której umieszczone zostaną obrazy i rzeźby. Będzie jeździł najpierw po okolicy, potem po całej Polsce. Pierwszy wyjazd w przyszłym roku. Pomysł zrodził się stąd, że są osoby, które mają obawy, aby odwiedzić galerię, wynikające z kompleksów. Mówią: „nie znam się na sztuce, to co będę chodził po galeriach". Mamy nadzieję, że w ten sposób przełamiemy ich opory. To wyjście street art, sztuka pojawi się w przestrzeni publicznej i po prostu na nią trafimy. Idąc do sklepu, pracy, na spacer. Także przy okazji innych wydarzeń.

CV

Michał Rejner to artysta, malarz, rzeźbiarz i twórca instalacji pochodzący z Bytomia. Zajmuje się sztuką współczesną i street artem. Rozgłos przyniosły mu m.in. cykle malarskie prezentowane m.in. w Chicago, instalacje komentujące kryzys surowcowy (jak maszyna z węglem zamiast pluszaków) czy projekt rzeźbiarski „Piersi" promujący profilaktykę raka piersi. Prace prezentował również w Wenecji, Mediolanie, Kolumbii, a także w Nowym Jorku, gdzie otrzymał nagrodę kuratora.

eprasa.pl 2c5aa58040

CIEKAWE MIEJSCA

Tajemnicza grota pod Zamkiem Książ to dawna przystań. Ale gondole miały być inne, niż te w Wenecji

Czemu służyła grota nad rzeką? Takie pytanie nasuwa się odwiedzającym Wąwóz Pełcznicy zwany też Wąwozem Piekiełko pod Zamkiem Książ. 200 lat temu było tu jezioro, a książęcy architekt zaproponował swój projekt specjalnej gondoli. Miała przewozić w bardzo smutne miejsce...

Elżbieta Węgrzyn

Turyści przemierzający Wąwóz Pełcznicy popularnym szlakiem tzw. Ścieżką Hochbergów niedaleko pomnikowego Cisa Bolko natrafiają na niesamowitą kamienną grotę. Jest nad samą rzeką i zdaje się być zwieńczeniem naturalnego wzgórza. Jednak jego symetryczne otwory i ułożenie kamiennych łupków zdradzają, że nie jest to dzieło natury, ale ludzkich rąk.

Kto zada sobie trud i wejdzied do tej niesamowitej pieczary, zobaczy pieczołowicie ułożone sklepienie i zaokrąglone łuki - otwory nie tylko od strony rzeki, ale i po obu stronach wzgórza - od strony lądu. O tej nietypowej atrakcji pisała eksplorująca ten teren dekadę temu Magdalena Sakowska.

Ruiny znajdują się nieopodal mostka nad Pełcznicą i podmokłego terenu oznaczonego na mapie jako dawny Łabędzi Staw. Łabędzi Staw to dawny, sztuczny zbiornik powstały poprzez spiętrzenie wody rzecznej. Stworzono go w momencie kształtowania się i rozbudowywania romantycznego traktu „dzikiej promenady" wokół Zamku Książ i prowadzącej do Starego Książa. Dziś w dużej mierze przebiega nią współczesna Ścieżka Hochbergów. Szlak ten zawdzięczamy wizji hrabiego Jana Henryka VI von Hochberga i geniuszowi architekta Christiana Wilhelma Tischbeina (1751 - 1824) działającego w książańskim majątku na zlecenie tego arystokraty. Jego projekt wyklarował się w ostatnich latach o XVIII wieku i był rozbudowywany na początku XIX w., jednak największą część prac wykonano w latach 90.

Tak wykorzystując naturalne ukształtowanie terenu dobudowano groty, mostki i kładki. Powstały punkty widokowe (jak m.in. Grób Olbrzyma), wzmiankowany Łabędzi Staw z pomnikiem dzieci Hochbergów, a nawet rozbudowano Stary Książ (1794 - 1797). Wydobyto naturalne piękno dzikiej doliny rzecznej.

To dawna przystań gondolowa nad Pełcznicą

Na stawie powstała wyspa z kamiennym pomnikiem śpiącego dziecka, projektu Christiana Wilhelma Tischbeina. Monument upamiętniał dwóch zmarłych tuż po urodzeniu w 1796 i 1802 roku synów Jana Henryka VI von Hochberga.

- Skoro początkowy projekt pomnika dzieci przewidywał wyspę na stawie, to Hochbergowie musieliby jakoś się tam dostać - przypuszcza Magdalena Woch, badaczka i pasjonatka lokalnej historii oraz pisarka związana z wałbrzyskimi instytucjami kultury.

Stąd przypuszczenie, że na potrzeby odwiedzania wyspy na Łabędzim Stawie powstała też przystań. Jak podkreśla Magdalena Woch, pan na Książu zamówił też u swojego architekta projekt specjalnej gondoli. Projekt powstał, a szkic przetrwał do dziś i znalazł się m.in. z biografii Tischbeina.

Skąd pomysł, by pływać po rzece i stawie gondolą? Taka łódź wpisywała się w zamysł romantycznej - dzikiej promenady. Co więcej, gondole to łodzie rzeczne, płaskodenne, idealne do pływania w niewielkim zanurzeniu. Sztuczny staw był raczej płytki.

Miały być inne, niż te w Wenecji

„Gondolierzy znad Wisły barkami wożą piach" śpiewała Irena Jarocka. A co lub kogo mogli przewozić gondolierzy znad Pełcznicy? Poza właścicielami książańskich dóbr takiego zaszczytu mogli doświadczyć również najznamienitsi goście.

Wracając do projektu gondoli Tischbeina, nie był przedstawieniem tradycyjnej gondoli. Jego łódź nie jest asymetryczna - w kształcie litery J, ani tak wąska i długa jak dziś znane gondole z Wenecji. Ma jednak część charakterystycznych dla gondoli zdobień i obciążenie z przodu (lew), równoważące ciężar gondoliera.

Czy gondole w Książu naprawdę powstały, czy skończyło się na pięknym projekcie i pomyśle na nie? Ostatecznej pewności mieć nie można, jednak pewną wskazówką jest akwaforta z pierwszych lat XIX wieku będąca najstarszym przedstawieniem Łabędziego Stawu. Warto zwrócić uwagę na sposób manewrowania łodzią przez mężczyznę na ilustracji. Powstające od XI wieku gondole charakteryzowały się asymetrią kadłuba, co umożliwiało sterowanie nimi dzięki używaniu jednego, ale długiego wiosła. Mogło być to zatem przedstawienie gondoliera znad Pełcznicy.

Księża Daisy też chciała mieć takie

Bez względu na to, czy książańskie gondole powstały, to pływano po stawie oraz Pełcznicy i zatrzymywano się przy przystani. Gondole jednak rozpalały wyobraźnię kolejnych pokoleń Hochbergów nawet gdy na początku kolejnego stulecia Łabędzi Staw już wysychał i tracił swoje walory.

- Potem, na początku XX wieku, kiedy księżna Daisy każe sobie wybudować Moją Fantazję, to przekazy ustne, „legenda ludowa", mówią, że chciała po tamtejszym stawie pływać gondolami i ponoć miała jedną. Nie wiemy, ile w tym prawdy - zaznacza Magdalena Woch.

Wiek później, taka - prawdopodobnie wenecka łódź - mogła pływać po zbiorniku kilka kilometrów od Łabędziego Stawu - na stawie powstałym na Poleśnicy. ©℗

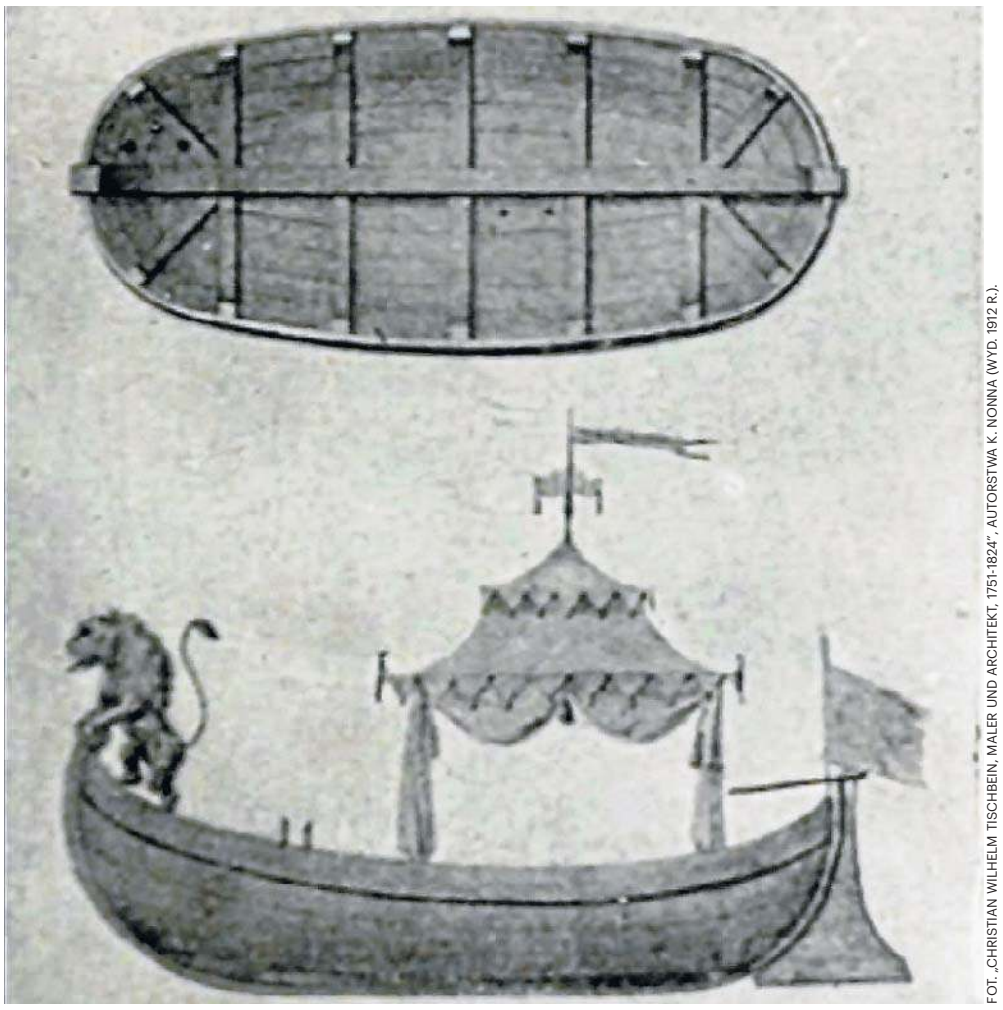

FOT. „CHRISTIAN WILHELM TISCHBEIN, MALER UND ARCHITEKT, 1751-1824", AUTORSTWA K. NONNA (WYD. 1912 R.).

Tak miałą wyglądać książańska gondola projektu Wilhelma Tischbeina

FOT. ELŻBIETA WĘGRZYN

Tajemnicza grota pod Zamkiem Książ. To dawna przystań gondolowa

eprasa.pl 2c5aa58040

PODRÓŻE

Misja wśród potomków ludożerców. Ojciec Grzegorz w Papui-Nowej Gwinei

Ojciec Grzegorz Kubowicz, misjonarz ze Zgromadzenia Misjonarzy Werbisów, opowiada nam o swoim powołaniu oraz posłudze w dalekiej i egzotycznej Papui-Nowej Gwinei, w której jest od 2015 roku. Do swoich wiernych lata samolotem, na co dzień chodzi boso, a mieszka w domu na palach, w którym szaleją termity

Dariusz Piekarczyk

Grzegorz Kubowicz urodził się w roku 1960 w Makowie Podhalańskim, ale wychował w Jaworznie, gdzie zamieszkali jego rodzice. W roku 1979 wstąpił do seminarium w Pieniężnie. To było rok po wyborze kardynała Karola Wojtyły na papieża Jana Pawła II. W tym samym czasie dwie jego kuzynki wstąpiły do zakonu, a kuzyn do redemptorystów.

Ghana pierwszą miłością ojca Grzegorza

– Jak to się stało, że trafiłem do Papui-Nowej Gwinei? – zastanawia się nasz rozmówca. – W Papui jestem od 2015 roku. Wcześniej pracowałem w Afryce, w Ghanie. Będąc jeszcze na studiach w misyjnym seminarium w Pieniężnie, po drugiej teologii w 1984 roku nadarzyła się okazja do wyjazdu na praktykę do Ghany, która była moją pierwszą miłością. Nauczyłem się bardzo dobrze jednego z lokalnych języków i zebrałem materiały do mojej pracy magisterskiej o wierzeniach w bóstwa Atano w środkowo-zachodniej Ghanie. W tamtych czasach nie było komórek – pisaliśmy listy, które szły do Polski przez półtora miesiąca albo dłużej. Czasem ze stolicy Ghany można się było dodzwonić do Polski. Spędziłem tam dwa lata na praktyce misyjnej i wróciłem dokończyć studia w Polsce w 1987 roku. Byłem wyświęcony w 1989 roku i wróciłem na stałe do Ghany jako kapłan misjonarz. Afryka jest kontynentem, który oczarowuje. Kultura ghańska jest otwarta i bardzo bogata. Uczono nas wszystkich zwyczajów, przysłów, zachowania się, sposobu jedzenia. Natomiast wiara w Boga zawsze tam była, tyle że tamtejsi ludzie nie znali Chrystusa. Po powrocie do Ghany w 2003 roku pracowałem tam jeszcze przez sześć lat. W latach osiemdziesiątych nie było dużo powołań lokalnych w Ghanie, ale nagle przyszedł boom powołań. Powoli zaczęliśmy opuszczać Ghanę. Ja wyjechałem w 2009 roku. Będąc w Polsce, nie mogłem sobie jednak znaleźć miejsca. Zgłosiłem się do Boliwii i do Papui-Nowej Gwinei. Przełożeni wysłali mnie do Papui, gdzie wylądowałem w listopadzie 2015 roku.

Papua: 820 języków i „kąpiele" w ubraniu

– Pierwszą rzeczą, którą lokalni ludzie powtarzają wszystkim przyjeżdżającym do Papui, jest to, że to kraj rzeczy nieoczekiwanych. I jest to prawdą w tym sensie, że nasza wyobraźnia ma granice wytyczone przez nasz sposób myślenia i przez naszą logikę. Źródłem niespodzianek jest też mnogość języków – obecnie około 820, a co za tym idzie różnorodność kulturowa. Sama Papua-Nowa Gwinea to druga co do wielkości wyspa świata – wraz z około 600 wyspami wokoło. Mamy tu dwa różne klimaty: tropikalny wilgotny na nizinach oraz przyjemny, jak polskie lato w górach. Już przed przyjazdem przełożony Papui przeznaczył mnie do pracy w górach, w parafii z diecezji Wewak, abym wiedział, jak wygląda tropik, zanim pojadę w góry. W tym czasie uczyłem się również języka pidżin. Misjonarz, u którego spędzałem ten rok, powiedział mi: „Ty byłeś w Afryce, to już wszystko wiesz". Ale już po pierwszym tygodniu pobytu uświadomiłem sobie, że Papua jest zupełnie inna, że nie ma porównania z Afryką, że muszę jakoś rozszerzyć moje horyzonty, aby się w ogóle odnaleźć. Udałem się więc do stacji bocznej, aby tam żyć wśród ludzi, podpatrywać ich i próbować jakoś „ogarnąć" ich tryb życia. Niczego nie krytykowałem, z uśmiechem brałem udział we wszystkich zajęciach ludzi. Na przykład ktoś mówi: „Idę się kąpać." W Ghanie w każdym domu były miejsca wyznaczone na prywatny „prysznic", gdzie używając wiaderka wody i mydła, wszyscy bardzo dokładnie szorowali swoje ciała. Więc udałem się z tym człowiekiem, który szedł się „kąpać" i miał tylko mały, brudny ręczniczek na ramieniu. Po jakimś czasie doszliśmy do rzeczki. Ten mężczyzna wszedł w ubraniu do tej rzeczki, usiadł w niej i zaczął rozmawiać z drugim siedzącym w rzece mężczyzną. Przy okazji obaj żuli betel (to inny zwyczaj specyficzny dla Papui). Po jakimś czasie mój przyjaciel wyszedł z wody, otarł sobie twarz i powiedział: „Wykąpałem się...". Nawiasem mówiąc, daleko od miasta mydło jest rarytasem. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem także fundamentalną różnicę między kulturą afrykańską a papuaską albo, szerzej, melanezyjską. Kultura afrykańska jest otwarta. Ludzie w Afryce uczyli nas, jak się zachowywać, jak unikać złamania tabu, natomiast tutaj kultura jest „tacit" – milcząca, jakby ukryta. Trzeba pytać, dociekać, obserwować. A tak jak różnią się lokalne języki, tak różnią się i zwyczaje – mnogość języków wynika między innymi z faktu, że ludzie nie kontaktowali się między sobą, nie podróżowali daleko, każdy obracał się wśród „swoich".

Misjonarz latający samolotem

– Do dziś Papuasi są bardzo wdzięczni misjonarzom za ogromny wkład w rozwój kraju – kontynuuje nasz rozmówca. – Obecnie pracuję na nizinach, wśród byłych ludożerców, w parafii św. Pawła, w miejscowości Nomad. Obok kościoła katolickiego są tu jeszcze dwa inne kościoły protestanckie. Ludzie twierdzą, że wraz z przybyciem misjonarzy zmienił się ich styl życia – porzucili dawne praktyki, które stały w sprzeczności z nauką Ewangelii. W naszej parafii ustały też walki plemienne, które były nagminne przed przybyciem misjonarzy. Placówka, w której pracuję obecnie, znajduje się w środku lasów tropikalnych i bagien. Dolatuję tam małym samolotem. Kiedy pierwszy raz przybyłem na misję, pewien mężczyzna przyszedł prosić o sól. Byłem trochę zdziwiony, ale dałem mu trochę soli i za miesiąc ten człowiek przyniósł mi dużą, świeżo złowioną rybę. Dzisiaj wiem, że w Nomad nie ma żadnego sklepu, że brakuje soli oraz takich podstawowych produktów, jak małe makaroniki czy przyprawy. Kiedy więc lecę do miasta co sześć miesięcy, to kupuję więcej takich rzeczy. A kiedy ludzie przynoszą mi różne liście, banany, ignamy czy pataty, pytam, czego potrzebują w zamian. Jest to jeden z aspektów bycia częścią lokalnej społeczności. Na bagnach nie rosną warzywa, dieta jest uboga w białko. Okazyjnie można złowić rybę albo upolować trochę dziczyzny. Innym problemem jest odzież, która w naszych warunkach bardzo szybko się po prostu rozpada. A ubrania można kupić tylko w mieście.

Najlepiej jest chodzić boso

– W diecezji Daru-Kiunga, w której pracuję, mamy 13 parafii. Moja parafia jest oddalona o osiem dni drogi na nogach od centrum diecezji – mówi misjonarz. – Drogi przez las, gdzie przekracza się rzeki, bagna. Alternatywą jest lot małym samolotem, który trwa 35 minut. Sama nazwa Nomad nadana została przez pierwszych odkrywców – ludzie są dzisiaj tutaj, a jutro ich nie ma. Przenoszą się do obozowisk w buszu, gdzie wycinają las i tam sadzą swoje uprawy. Żyją tam przez kilka tygodni, a czasem miesięcy, a potem wracają na jakiś czas do Nomad. Jestem sam na parafii. Do diecezji udaję się dwa razy do roku, po Wielkanocy i w listopadzie, kiedy mamy diecezjalne

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA KUBOWICZA

Uczniowie szkoły misyjnej w Papui-Nowej Gwinei w towarzystwie naszego rozmówcy, misjonarza werbisty Grzegorza Kubowicza, który posługuje w tym kraju od 11 lat. Wcześniej był w afrykańskiej Ghanie, która – jak mówi – jest jego miłością

eprasa.pl 2c5aa58040

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA KUBOWICZA

Ministranci z parafii, w której jest nasz rozmówca, w komżach i zielonych pelerynkach

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA KUBOWICZA

Majowe nabożeństwo w Papui-Nowej Gwinei. Statua Matki Bożej wędruje od domu do domu

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA KUBOWICZA

Ojciec Grzegorz Kubowicz w towarzystwie lokalnych polityków, którzy chętnie – jeśli jest taka potrzeba – wspomagają misjonarza

FOT. ARCHIWUM GRZEGORZA KUBOWICZA

Nasz rozmówca, a w głębi siedziba misji, czyli drewniany dom na palach, częściowo obity blachą. Na szczęście jest tam prąd

spotkania. Wtedy kupuję 400 kg żywności i innych potrzebnych rzeczy, jak drobne materiały budowlane, proszek do prania, narzędzia. Każda parafia ma stacje boczne – ja mam ich dziewięć. Do wszystkich mogę dotrzeć na nogach – najbliższa znajduje się w odległości 45 minut pieszo, do większości jest kilka godzin drogi, do dwóch dzień drogi, a do dwóch dwa dni. Kiedy mam paliwo, mogę dotrzeć do stacji łódką. Musiałem się też nauczyć chodzić boso – zajęło mi to dwa lata. Jest to najodpowiedniejszy sposób poruszania się po naszym bagnistym i wilgotnym terenie. Jakiekolwiek obuwie powoduje otarcia, które mogą rozwinąć się w jątrzące się rany, tzw. wrzody tropikalne. Oprócz insektów nieodłącznym towarzyszem naszych wędrówek w lasach są pijawki. Mamy tylko trzy miasta w diecezji i jedną w miarę normalną drogę. Transport jest problemem, bo samoloty i łodzie są bardzo kosztownym środkiem. Dodam, że nasza posługa nie byłaby możliwa bez pomocy ludzi świeckich – katechistów. Są to osoby, które potrafią głosić Ewangelię, przygotowywać do sakramentów. Oni idą jakby przed nami, a później mieszkają w stacjach bocznych i pomagają, szczególnie w prowadzeniu nabożeństw w niedzielę i nauce katechizmu. Obecnie w całej Papui mamy mało katechistów, podobnie jak mamy mało powołań do kapłaństwa. A w mojej parafii nie ma już ani jednego katechisty ani liderów, którzy prowadzą nabożeństwa niedzielne. Mamy też kilku szafarzy Komunii Świętej, lektorów, oraz tych, co grają na gitarze. W ciągu roku staram się dawać kursy dla nich wszystkich. Organizuję je kilka razy w roku w głównej stacji, a przy okazji wizyt w stacjach bocznych mamy przynajmniej jeden dzień na szkolenie lokalnych liderów. Wielkim problemem jest to, że w mojej parafii tylko jeden język ma przetłumaczoną Biblię na język lokalny – wszystkie inne języki nie są pisane. Mamy właściwie cztery języki lokalne, a w całej parafii jest ich siedem, więc jest niemały galimatias. W liturgii i w czytaniach mszalnych używamy języka pidżin english. Większość moich parafian nie ukończyła szkoły podstawowej i nie umie czytać ani pisać, dlatego jest bardzo trudno znaleźć kandydata na lidera. A ludzie znający angielski lub pidżin english uciekają stąd do miast w poszukiwaniu pracy.

Jedyny Polak w diecezji

– W całej Papui jest 61 misjonarzy z Polski, w tym 20 werbistów, ale są też misjonarze św. Rodziny, Michalici Misjonarze Wincentego a Paulo, księża diecezjalnych i siostry– opowiada dalej werbista. – Według statystyk Papua jest krajem, w którym liczba lokalnych powołań maleje. W naszej diecezji Daru-Kiunga jestem jedynym Polakiem, biskup jest Filipińczykiem, mamy jednego Wietnamczyka, jednego misjonarza z Indii, jednego z Afryki, dziewięciu z Indonezji i jednego lokalnego księdza diecezjalnego. Co prawda mamy też kilku lokalnych seminarzystów, ale większość z nich rezygnuje w trakcie studiów.

Kapłaństwo nie jest „popularne" w Papui. Ideałem jest zostać „Wielkim Człowiekiem" – politykiem, który ma dużo pieniędzy i dzięki temu może pomagać innym.

Wiara w „sanguma"

– Tutaj wiara w moce magiczne jest „ukrywana", czyli nikt otwarcie nie przyznaje się do posiadania mocy duchowych z obawy przed kimś, kto mógłby okazać się duchowo „mocniejszy" – kontynuuje Grzegorz Kubowicz. – Największym problemem jest wiara w „sanguma", to jest w ludzi, którzy mogą spowodować chorobę lub śmierć człowieka. W mojej parafii prawie każdy pogrzeb zamienia się w polowanie na czarownice. A człowieka oskarżonego torturuje się i zabija, chyba że uda mu się uciec. Według prawa państwowego jest to przestępstwo, ale zdarza się, że i policja oraz wykształceni ludzie również wierzą w „sanguma". Wykrywaniem takich osób zajmują się lokalni „jasnowidze". Oprócz tego ludzie uciekają się do różnych sposobów, które mogłyby wskazać domniemanego „winowajcę". W Nomad mamy małą przychodnię, w której przez większą część roku brakuje jednak lekarstw. Dlatego staram się rozbudzić w moich parafianach wiarę w Boga. Udało mi się przekonać ich do modlitwy do Jezusa w Najświętszym Sakramencie i do używania koronki do Miłosierdzia Bożego. Mieliśmy już uzdrowienia z przeróżnych chorób za przyczyną takich modlitw – twierdzi nasz rozmówca.

Wędrująca statua Matki Bożej

Boże Ciało z procesją oraz adorację Najświętszego Sakramentu wprowadził w Papui nasz rozmówca. – Wprowadziłem również majówki ze statuą Maryi, która „wędruje" od domu do domu – mówi z dumą. – Z okazji świąt ludzie dekorują kościół, używając lokalnych roślin, głównie liści palmowych i kwiatów. Natomiast przy okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy dzielimy się jedzeniem. Każda rodzina gotuje w domu i po południu gromadzimy się razem na wspólny posiłek. Kończymy oglądaniem wideo. Takie wspólne jedzenie to ich zwyczaj, który praktykują między sobą przy okazji podziękowania, pojednania albo dobrych zbiorów. Nie ma żadnych domowych uroczystości przy okazji pierwszej komunii czy ślubu. W ogóle bardzo trudno jest nam przekonać małżonków do sakramentu małżeństwa. Bardzo dużo czasu poświęcam na naukę o sakramentach. Jednym z sakramentów, o którym moi parafianie nic nie wiedzieli, jest namaszczenie chorych. Mamy problem z Adwentystami Dnia Siódmego, którzy rozprzestrzenili się w Papui w ostatnich latach i czasem aktywnie atakują Kościół katolicki. Na szczęście nie robią tego w mojej parafii i tutaj żyjemy w zgodzie. Jeśli chodzi o władze lokalne, utrzymujemy kontakt z nimi i czasem prosimy o pomoc. Pomagają w naszych inicjatywach, szczególnie w szkolnictwie oraz czasem w budowie kaplic w stacjach bocznych.

Siedzibą misji w Gasumi jest drewniany dom na palach, obity zieloną blachą. Jest też hol parafialny, bliski rozpadu – termity zjadają drewno. Nowy kościół zbudowano z drewna i blachy. Jest system solarny z akumulatorami, który zapewnia prąd.

Polska kojarzy się z filmami

– W mojej parafii wielu ludzi nie widziało jeszcze najbliższego miasta Kiunga – mówi zakonnik. – Dla większości biały człowiek to mieszkaniec Australii. Natomiast Polska kojarzy się im ze mną i z filmami o polskich kościołach, które im wyświetlałem. Popularnym sportem jest siatkówka oraz rugby, chociaż niektórzy grają też w piłkę nożną. W Papui znam tylko jedną polską osobę świecką, która pracuje w stolicy. Nie mamy tutaj Polonii jako takiej. Nawet między nami, polskimi misjonarzami, bardzo rzadko się spotykamy z powodu utrudnień w transporcie. Dla mnie samego dotarcie do mojej parafii ze stolicy może zająć miesiąc – brakuje miejsc w liniowych samolotach ze stolicy Port Moresby do Kiungi, a mniejszy samolot z Kiungi do mojej parafii kursuje tylko, kiedy są pasażerowie i kiedy nasze lotnisko nie jest zbyt zabłocone – zwykle raz na trzy tygodnie. Jak można nam pomóc? Przede wszystkim modlitwą. No i oczywiście wsparciem finansowym. W naszej diecezji tylko dwie parafie są samowystarczalne, wszystkie inne istnieją dzięki wsparciu finansowemu.

W ojczyźnie co trzy lata

Podczas rozmów z misjonarzami pytam często, jak radzą sobie z kryzysami wiary i tęsknotą za Polską.

– Największe kryzysy mam już za sobą. W czasie kryzysów nigdy nie rezygnowałem z modlitwy. Patrząc wstecz, pamiętam, że w modlitwie brewiarzowej uderzały mnie wtedy słowa psalmisty, który wołał gdzieś z głębokości o Boży ratunek. Dzisiaj uderzają mnie psalmy dziękczynne. Do Polski przyjeżdżam zazwyczaj raz na trzy lata. Za każdym razem Polska jawi mi się jako piękny kraj i za każdym razem trochę inny. Polacy też się zmieniają, a najbardziej młodzież. Tęskniłem kiedyś, gdy nie było internetu. Dziś, choćmieszkam daleko, jestem blisko tych, z którymi utrzymuję kontakt. Bardzo często odczuwam też wsparcie tych, którzy się za mnie modlą.

eprasa.pl 2c5aa58040

FOTOREPORTAŻ

Szlafhaus na Karmańskim górował dla mnie nad familokami jak pałac

Kiedy trafiłem tam po raz pierwszy pod koniec lat osiemdziesiątych, zachwyciła mnie surowa, trochę tajemnicza atmosfera tego miejsca. Rudzki Szlafhaus swoją wielkością wyraźnie odznaczał się na tle niższych familoków – górował nad nimi niemal jak pałac. Wiedziałem, że w jego okolicy, a także w podobnych przestrzeniach Rudy, kręcił Kazimierz Kutz sceny do filmu „Sól ziemi czarnej".

Arkadiusz Gola

ARKADIUSZ GOLA

Początki rudzkiego przemysłu zawiązały się właśnie w dzielnicy Ruda, kiedy w 1770 roku utworzono kopalnię Brandenburg. W pobliżu funkcjonował kamieniołom, z którego czerpano budulec na pierwsze murowane domy i kościół. Wkrótce powstała również cegielnia. W jej sąsiedztwie, niedaleko kopalni, zaczęto budować domy w obszarze nazywanym potocznie Karmańskim. Nazwa ta pochodziła od jednego z kluczowych szybów wydobywczych – Carl-Emanuel – pobliskiej kopalni należącej do Ballestremów. Ślązacy z czasem nieco spolszczyli niemiecką nazwę i tak pojawiło się „Karmańskie".

Kopalnia wraz z okolicznymi szybami, pod rządami Ballestremów, zmieniała się i rozrastała, aż ostatecznie powstał jeden z największych w tamtym czasie kompleksów przemysłowych Górnego Śląska – Walenty-Wawel. Kopalnia, koksownia, elektrownia, kompresorownia oraz tzw. Luftbana, czyli podwieszana kolejka przewożąca urobek z kopalni do koksowni, potrzebowały setek, a później tysięcy robotników. Dla tych ludzi w kolonii Karmańskie wybudowano sporych rozmiarów hotel robotniczy. Okoliczna ludność szybko zaczęła nazywać go „Szlafhausem", co w języku niemieckim oznacza „dom snu".

Kiedy trafiłem tam po raz pierwszy pod koniec lat osiemdziesiątych, zachwyciła mnie surowa, trochę tajemnicza atmosfera tego miejsca. Szlafhaus swoją wielkością wyraźnie odznaczał się na tle niższych familoków – górował nad nimi niemal jak pałac. Wiedziałem, że w jego okolicy, a także w podobnych przestrzeniach Rudy, kręcił Kazimierz Kutz sceny do filmu „Sól ziemi czarnej". To dodatkowo wzmacniało moje poczucie, że znajduję się w miejscu, które jest czymś więcej niż tylko kolejnym starym budynkiem. Było częścią pejzażu, historii i pamięci tego miejsca.

Kiedy zacząłem fotografować Szlafhaus w 1992 roku, mieszkało w nim już tylko kilka rodzin. Kopalnię Wawel szykowano do zamknięcia, a wraz z nią przestała być potrzebna funkcja hotelu robotniczego. Ostatni mieszkańcy Szlafhausu, kiedy do nich zapukałem, przyjęli mnie z ufnością. Wszyscy mieli świadomość, że bez opieki kopalni przyszłość tego domu jest właściwie przesądzona. Nie wiedzieli tylko, jak szybko nadejdzie jego koniec.

W Rudzie Śląskiej, podobnie jak w wielu innych miastach regionu, pospieszna i rabunkowa likwidacja zakładów przemysłowych uruchomiła lawinę zmian. Znikały kopalnie, huty i zakłady, a wraz z nimi całe fragmenty miejskiej tkanki. Walące się stare domy często padały łupem złomiarzy, którzy krok po kroku rozbierali je z tego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Nie inaczej było ze Szlafhausem. Zanim jednak rozpoczęła się jego agonia, postanowiłem fotografować go razem z mieszkańcami. Zawsze staram się nie czekać na ruiny. Nie lubię fotografować pustych, walących się ścian, bo takie zdjęcia, choć mogą być efektowne, często zawierają niewiele informacji, a jeszcze mniej emocji. Najważniejsi są dla mnie ludzie, którzy w tych miejscach żyli, pracowali, wychowywali dzieci, przeżywali swoje codzienne radości i problemy. To ich obecność nadaje przestrzeni znaczenie. Dlatego chciałem sfotografować Szlafhaus jeszcze wtedy, kiedy był domem, a nie tylko ruiną.

Nawet pod koniec swojego istnienia robił ogromne wrażenie – nie tylko swoją posturą i architekturą, ale również przestrzeniami wewnątrz. Przestronna, wykafelkowana klatka schodowa, długie korytarze, na których znajdowały się krany z wodą, oraz wysokie stropy na każdym piętrze sprawiały wrażenie niemal pałacowych wnętrz. Było w tym coś niezwykłego: budynek przeznaczony dla robotników miał skalę i przestrzeń, które kojarzyły się raczej z reprezentacyjną architekturą niż z typowym hotelem robotniczym.

A przecież w tych ogromnych przestrzeniach swoje małe mieszkania stworzyli ludzie, dla których wysoki sufit, szczególnie zimą, oznaczał przede wszystkim problem z ogrzewaniem. Wielkie okna, niemal dwa razy większe niż w typowym familoku, latem wpuszczały do środka mnóstwo światła. Zimą jednak przez te same okna uciekało ciepło. Monumentalność budynku, która z zewnątrz mogła zachwycać, z perspektywy mieszkańców miała również swoją codzienną, bardzo praktyczną cenę.

Szlafhaus nie był dla mnie jedynie architekturą

Pamiętam tych ludzi i ich mieszkania przede wszystkim jako część tego miejsca. Szlafhaus nie był dla mnie jedynie architekturą. Był domem, który właśnie przestawał nim być. W jego wnętrzach czuło się jeszcze obecność mieszkańców, ale jednocześnie było już wiadomo, że za chwilę może ich nie być. Fotografowanie miało więc także wymiar pożegnania – próbę zatrzymania czegoś, co nieuchronnie znikało.

Kiedy pojechałem tam po kilku latach, mieszkańców już nie było. Większość okien zamurowano, a złomiarze rozpoczęli powolną agonię budynku. Z miejsca, które jeszcze niedawno było czyimś domem, zaczęła pozostawać jedynie skorupa. Znikały kolejne elementy, rozbierano wnętrza, a monumentalny Szlafhaus z każdym miesiącem coraz bardziej przypominał pusty obiekt czekający na swój koniec.

Wkrótce wyburzono go całkowicie. Po budynku, który przez dziesięciolecia górował nad Karmańskim, została potężna wyrwa. Zniknęła charakterystyczna część krajobrazu, ale nie zniknęła pamięć o niej. Dzisiaj, kiedy patrzę na te zdjęcia, myślę przede wszystkim o tym, jak szybko potrafi zniknąć całe miejsce. Jeszcze chwilę wcześniej było częścią czyjegoś świata, a później pozostaje po nim tylko pusta przestrzeń. Fotografia nie jest w stanie zatrzymać budynku ani ocalić go przed wyburzeniem. Może jednak zatrzymać jego obecność w pamięci. I chyba właśnie dlatego wracam do Szlafhausu – nie jako do ruiny, której już nie ma, ale jako do domu, w którym przez pewien czas żyli ludzie i który na krótko stał się także częścią mojego fotograficznego świata.

eprasa.pl 2c5aa58040

FOT. ARKADIUSZ GOLA

FOT. ARKADIUSZ GOLA

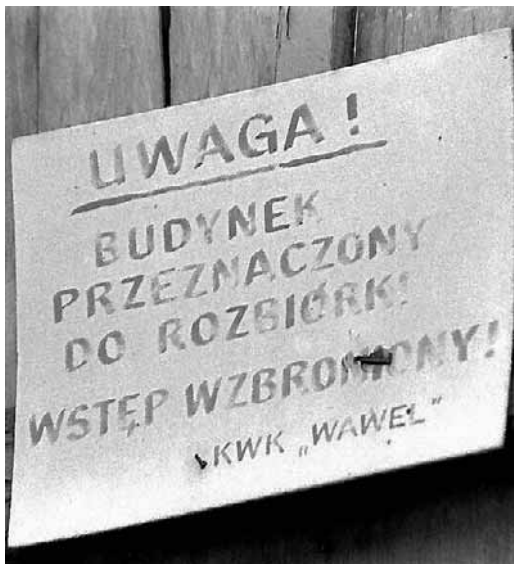

FOT. ARKADIUSZ GOLA

FOT. ARKADIUSZ GOLA

eprasa.pl 2c5aa58040

WYSTAWA

FOT. NMM

Harada Kōkyo (1863-1925), „Nasze niszczyciele Hayatori i Asagiri zatapiają okręty nieprzyjacielskie pod Port Artur podczas wielkiej śnieżycy o 3:00 w nocy 14 lutego 1904"

Wrogowie godni pogardy i ostatni samurajowie – japońskie drzeworyty propagandowe z czasów wojny

W Narodowym Muzeum Morskim na wystawie „Wizje zwycięstwa. Japońskie drzeworyty propagandowe z epoki Meiji" zobaczymy kolekcję japońskich grafik sensō-e, czyli drzeworytów stworzonych jako narzędzie propagandy wojennej

Grażyna Antoniewicz

Pochodzą one z czasów wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905. Są to swego rodzaju „komiksy wojenne". Ukazują heroiczne bitwy, zwycięstwa na morzu i lądzie, są na nich samurajowie, wojownicy i wizerunki wrogów. Te piękne grafiki pokazują nie tylko wydarzenia wojenne, ale przede wszystkim sposób, w jaki kształtowano obraz wojny, armii i narodowej dumy Japonii.

Większość prac na tej arcyciekawej wystawie (otwarcie 4 września) ilustruje epizody z wojny rosyjsko-japońskiej z lat 1904-1905, ale jedna odnosi się do ostatniej rewolty samurajów – Rebelii Satsumy z 1877 roku – i jedna do wojny chińsko-japońskiej z lat 1894-1895.

– Celem ich autorów było przekazywanie bieżących wiadomości z pola walki w sposób sprzyjający podtrzymywaniu morale japońskiego społeczeństwa. Tworzyli oni zatem sceny przemawiające do emocji, w mniejszym stopniu wiernie oddając rzeczywisty przebieg wydarzeń – opowiada kuratorka wystawy dr Monika Jankiewicz Brzostowska. — Na wystawie zobaczymy m.in., jak wyłącznie przy pomocy rozwiązań kompozycyjnych i kolorystyki twórcy ukazywali dominację Japonii w przedstawieniach bitew morskich. Z kolei w scenach z pokładów japońskich okrętów uwagę zwrócą pozy godne aktorów teatru kabuki, przybierane przez marynarzy i oficerów na walczącej jednostce – opowiada Monika Jankiewicz Brzozowska. – Zobaczymy również ilustracje starć japońskich żołnierzy z nieprzyjaciółmi na lądzie – tu najbardziej wyraźne będzie rozróżnienie między wizerunkami walecznych, zdyscyplinowanych i szlachetnych Japończyków a ich przeciwnikami, przedstawionymi w sposób wzbudzający lekceważenie, a nawet pogardę.

Na wystawie znajdą się jednak i takie prace, które manifestują szacunek, zrozumienie, a nawet współczucie dla nieprzyjaciół. Tak jest m.in. w przypadku grafiki przedstawiającej bohaterskich samurajów podczas bitwy nad rzeką Midori w czasie Rebelii Satsumy.

Kolekcja, którą będziemy podziwiać na wystawie, została nabyta przez Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku w 2004 roku od Petera von Buscha (1935-2016) – historyka sztuki i etnologa, swego czasu dyrektora Muzeum Marynarki Wojennej w Karlskronie. Był on pasjonatem wszystkiego, co związane z morzem, wielkim przyjacielem gdańskiego muzeum, a także zapalonym kolekcjonerem sztuki ludowej z Afryki i Papui-Nowej Gwinei. Kolekcja rycin sensō-e, która trafiła do zbiorów Narodowego Muzeum Morskiego, była przez niego gromadzona na przestrzeni wielu lat dzięki zakupom w antykwariatach i galeriach w Europie Północnej.

FOT. NMM

Utagawa Kokunimasa (1874-1944), „Prawdziwy zapis wiadomości otrzymanych drogą telegraficzną: Bandyci niszczą linię kolejową w Mandżurii"

eprasa.pl 2c5aa58040

FOT. NMM

Chinsai Rosetsu (czynny 1890-pocz. XX w.), „Ilustracja sukcesu okrętów torpedowych w bitwie morskiej pod Port Artur podczas wojny rosyjsko-japońskiej"

Wśród twórców zebranych przez niego grafik wymienić można takie nazwiska, jak Kobayashi Kiyochika (1847-1915) czy Utagawa Kokunimasa (1874-1944), którzy słynęli jako autorzy sensō-e. Na wystawie znajdą się też prace artystów, którzy tym gatunkiem zajmowali się jedynie incydentalnie, jak np. Tsukioka Kōgyo (1869-1927).

Szczególną uwagę zwróćmy na prace Kobayashi Kiyochika (1847-1915). Ten wybitny japoński artysta uznawany jest za ostatniego wielkiego mistrza drzeworytu w stylu ukiyo-e oraz prekursora nowoczesnej grafiki japońskiej okresu Meiji (1868-1912). Zasłynął z wprowadzania do tradycyjnego drzeworytu zachodnich technik operowania światłem i cieniem (styl kōsen-ga). Genialnie uwieczniał nocne pejzaże Tokio, blask lamp gazowych, architekturę z czerwonej cegły, a także dramatyczne sceny batalistyczne z wojny chińsko-japońskiej. Natomiast Utagawa Kokunimasa, choć tworzył w burzliwych okresach Meiji, Taishō i Shōwa, pozostawał wierny klasycznej tradycji japońskiej. Masową popularność przyniosły mu pełne ekspresji i dynamiki ryciny wojenne, a także unikalne drzeworyty dokumentujące katastrofalne tsunami z 1896 roku.

Graficzna technika drzeworytu znana jest w Japonii już od VIII wieku naszej ery. Druki wielobarwne, kojarzone dziś z nurtem ukiyo-e, czyli „obrazami upływającego świata", zaczęto wytwarzać w połowie XVIII wieku, odnosząc się do uniwersalnej przemijalności życia. Japońskie drzeworyty szybko przeniknęły do Europy i odcisnęły trwałe piętno na kulturze krajów Zachodu. Schyłek popularności drzeworytów ukiyo-e przyniosła epoka Meiji – okres przemian i wielkiej modernizacji w stylu zachodnim we wszystkich obszarach życia politycznego i społecznego Japonii. Grafiki stały się medialnym narzędziem narodu, który przechodził przeobrażenie i poszukiwał nowego języka wizualnego do odzwierciedlenia tego procesu. Częścią tego procesu było pojawienie się drzeworytów sensō-e ilustrujących bieżące konflikty zbrojne, w które zaangażowana była Japonia. Wydawano je jako swoiste biuletyny przeznaczone dla obywateli Japonii, ilustrujące na gorąco wypadki wojenne. Ich zadaniem było informować i podtrzymywać patriotyczny zapał Japończyków. Informowały one, że japońskie niszczyciele Hayatori i Asagiri zatopiły okręty nieprzyjacielskie pod Port Artur podczas wielkiej śnieżycy o godzinie 3 w nocy 14 lutego 1904 roku. Były ilustracją sukcesu okrętów torpedowych w bitwie morskiej pod Port Artur podczas wojny rosyjsko-japońskiej 7-13 marca 1904 roku

Jest na nich „Prawdziwy zapis wiadomości otrzymanych drogą telegraficzną: Bandyci niszczą linię kolejową w Mandżurii" (luty 1904) i „Bitwa między Japonią i Rosją w Seulu". Inna grafika donosiła „Hurra z okazji wielkiego zwycięstwa marynarki wojennej wielkiej Japonii w bitwie morskiej pod Incheon między Japonią i Rosją" z lutego 1904 roku i „Wojna rosyjsko-japońska, Cesarska Flota Japonii zatapia rosyjskie pancerniki na redzie Port Artur" z 15 lutego 1904 r.

Pozyskane przez Narodowe Muzeum Morskie grafiki przedstawiają zmagania żołnierzy i triumf floty japońskiej. Wyłaniający się z nich obraz wojny daleki jest od realizmu. Nie brakuje dramatycznych przedstawień walki wręcz czy monumentalnych wizerunków okrętów pogrążających się w morskich odmętach. Wszystko to oddane z mistrzowską precyzją, utrzymane w charakterystycznej dla japońskiej sztuki drzeworytniczej gamie szarości, błękitów i rdzawej w czerwieni.

Drzeworyty jako wydawnictwa doraźne, odbijane na papierze pośledniej jakości, szybko niszczały lub popadały w zapomnienie, tak że niewiele się ich zachowało do dzisiaj.

*

Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku. Wystawa będzie prezentowana od 4 września do 6 grudnia tego roku w głównej siedzibie na wyspie Ołowiance. Towarzyszyć jej będzie zrealizowany symultanicznie w języku polskim i angielskim katalog zawierający wprowadzenie dotyczące historii drzeworytu sensō-e oraz jego specyfiki, a także reprodukcje i obszerne noty wszystkich prezentowanych na wystawie zabytków.

Czym były japońskie drzeworyty i czym różniły się od europejskich

Różnica między drzeworytem japońskim a europejskimpolega na nieco innej technice wykonawczej i gatunku farb. Na deseczce z wiśniowego drewna naklejano kompozycję wykonaną na bibułce (a nie, jak w europejskim, narysowaną bezpośrednio na klocku) i wycinano kontury. Dla każdego koloru sporządzano osobną płytę. Początkowo druki były czarno-białe, potem – stopniowo wzbogacając się kolorystycznie – od ok. 1765 r. osiągały dowolne barwy. Wynaleziony z czasem tzw. kento – znak umożliwiający dokładne nakładanie płyt z kolejnymi kolorami – ogromnie ułatwiał i przyspieszył produkcję, co przy dużej ilości odbitek miało niemałe znaczenie. Odbitki wykonywano ręcznie, dobierając papiery mniej lub bardziej bibulaste, a zależnie od stężenia farby i różnego nacisku uzyskiwano pożądane rezultaty. Czasami drukowano jeden kolor na drugim w celu uzyskanie odpowiedniego efektu i odcienia. W przeciwieństwie do Europy w Japonii używano tylko farb wodnych, które rozprowadzano delikatnym pędzelkiem, tak że robiły wrażenie rysunku akwarelą.

FOT. NMM

Kobayashi Kiyochika (1847-1915), „Hurra z okazji wielkiego zwycięstwa marynarki wojennej wielkiej Japonii w bitwie morskiej pod Incheon między Japonią i Rosją"

eprasa.pl 2c5aa58040

HISTORIA

Warszawska linia średnicowa: kolejowa duma II Rzeczypospolitej

2 września 1933 r. o godz. 11.45 nastąpiło uroczyste otwarcie warszawskiej linii średnicowej, jednej z największych i najbardziej niedocenianych inwestycji międzywojnia

Mariusz Grabowski

Przez dekadę zbudowano most średnicowy na Wiśle, wiadukt z dwoma torami oraz ponad kilometrowy tunel, służący podróżnym do dzisiaj. Trzy lata później linia została zelektryfikowana.

FOT. NAC

Otwarcie linii średnicowej w Warszawie. Pierwszy pociąg wyjeżdżający z tunelu

Plan Wasiutyńskiego

Na tle biedy po Wielkiej Wojnie projekt linii średnicowej, łączącej Dworzec Wschodni z Dworcem Głównym z wykorzystaniem tunelu, był wręcz oszałamiający. Choć wcale nie nowy – już w 1879 r. powstał w Petersburgu projekt „Centralnego dworca m. Warszawy i nowej linii łączącej drogi żelazne: Warszawsko-Wiedeńską i Warszawsko-Terespolską autorstwa Pawła N. Fliederbauma, w roku 1884 inż. Rohan i Zieliński przedstawili ówczesnym władzom koncepcję przeprowadzenia w Warszawie podziemnej linii. Wymagała ona wybudowania tunelu, mostu na Wiśle oraz nasypów i mniejszych wiaduktów nad Powiślem. Ich projekt także nie wyszedł jednak poza etap studyjny.

Strategiczną budowę zrealizowano już w innych warunkach, po uchwale lipcowej Sejmu z 1919 r. Była to jedna z pierwszych uchwał Sejmu odrodzonej Polski, a autorem udoskonalonego projektu był inż. Aleksander Feliks Marceli Hieronim Wasiutyński. Dokumentację zatwierdzono w 1921 r., a już trzy lata później rozpoczęto budowę.

Inż. Wasiutyńskiemu (1859-1944), ekspertowi w dziedzinie kolejnictwa, profesorowi Politechnik Lwowskiej i Warszawskiej, warto poświęcić chwilę. To on zainicjował m.in. prace badawcze nad zmianami metod zabezpieczeń ruchu kolejowego oraz opracował trzy nowe typy szyn kolejowych. W latach 30. współuczestniczył też w projektowaniu nowego warszawskiego Dworca Głównego.

Z rozmachem

Całość prac została podzielona na dwie części. Pierwszą była budowa linii średnicowej, dworców i mostu przez Wisłę, a drugą budowa stacji rozrządowych i ładunkowych. Na początku planowano wybudowanie dwutorowej linii średnicowej, a następnie miano uzupełnić ją do czterech torów.

W 1921 r. rozpisano konkurs na budowę 450-metrowego mostu i wiaduktu nad ul. Solec – wygrał projekt inż. Pawła Wędziagolskiego (1883-1929), architekta, który w 1920 r. fortyfikował twierdzę Modlin przed bolszewikami. Budowę rozpoczęto w 1924 r. Trwała ona prawie 10 lat z różnymi perturbacjami, wynikającymi głównie z braku pieniędzy.

Z powodu budowy konieczne było zburzenie znacznej części dawnego Dworca Wiedeńskiego (m.in. charakterystycznej zachodniej wieży zegarowej), aby powstało miejsce na głowicę rozjazdową nowego Dworca Głównego, który zaczęto budować na tunelu. Na czas robót zbudowano prowizoryczny Dworzec Główny przy ul. Chmielnej. Służył podróżnym przez całe lata 30.

Nie bez przeszkód

Tunel linii średnicowej wykonała firma Fr. Martens & A. Daab, most wybudowała firma K. Rudzki i S-k, zaś wiadukty firma Żelazo-Beton. Ta ostatnia reklamowała się następująco: „Przy budowie firma stosuje najnowsze urządzenia techniczne oraz maszyny budowlane w celu największego zmechanizowania pracy, a tem samem zredukowania kosztów budowy. W tymże celu firma zastosowała przy ostatnich budowach amerykańskie ruchome rusztowania systemu Fr. B. Gilbreth'a, które wykazały bardzo dobre rezultaty, podnosząc znacznie wydajność pracy mularzy".

Historyk techniki, dr Zbigniew Tucholski podkreśla, że budowa kolei średnicowej i modernizacja węzła kolejowego w Warszawie były ogromnymi przedsięwzięciami technologicznymi. „Ukończony tunel był bardzo nowoczesną konstrukcją żelbetową, liczącą 1200 metrów, pod dwa tory. Inwestycja dawała możliwość dalszej rozbudowy pod rozwój sieci dalekobieżnej kolei, co stało się w latach 60. po wojnie. Tak się stało dzięki wizjonerstwu prof. Wasiutyńskiego, który przewidział rozwój urbanistyczny Warszawy. Jednym z głównych elementów inwestycji był także most średnicowy (...) konstrukcja w całości nitowana, została oddana do użytku w 1930 r." – pisze Tucholski. Dodajmy, że prace były prowadzone przy jednoczesnym utrzymaniu ruchu pociągów w stolicy. Był to dość skomplikowany proces na ówczesne czasy, który dodatkowo utrudniał opór części środowiska inżynierów kolejowych oraz władz miasta, widzących w tym szkodę dla krajobrazu Warszawy. Prace prowadzono przy bardzo prymitywnych środkach technicznych m.in. przez zabezpieczenie wykopów drewnianymi pomostami.

„Most ani drgnie"

Pierwszy próbny przejazd lokomotywy odbył się w 1930 r., a otwarcie linii w 1933 r. Na zrobionej wówczas fotografii widać ciągnący skład parowóz Ok22-71. Była to maszyna prawie całkowicie polskiej konstrukcji, choć wzorowana na niemieckim parowozie serii P8. W Dwudziestoleciu parowozy serii Ok22 były podstawowymi lokomotywami pasażerskimi PKP, znajdując się we wszystkich dyrekcjach okręgowych kolei państwowych.

Lokomotywę prowadził instruktor maszynistów Ignacy Jaworski, a asystowali mu: maszynista Aleksander Zdanowicz, pomocnik maszynisty Stefan Jaskólski oraz palacz Józef Nagadowski. Wśród pasażerów pociągu znaleźli się m.in. prezydent Ignacy Mościcki, premier Janusz Jędrzejewicz, liczni ministrowie, prezydent Warszawy Zygmunt Słomiński, a także inż. Aleksander Wasiutyński.

Pociąg przejechał nowo wybudowanym tunelem oraz mostem. „Kuriera Warszawski" tak opisywał to piórem reportera: „Po moście suniemy z szybkością 45 km na godzinę. Rozlegają się głosy zadowolenia: – »most ani drgnie«. Mijamy ostatnie przęsło i wjeżdżamy na nasyp praski. Po obu stronach »sielanka«. Spokojnie pasie się bydełko... Ludność praska powiewa chusteczkami, dając wyraz swego zadowolenia".

Elektryfikujemy

Co było dalej wiemy z książki Arkadiusza Borkowskiego „Most średnicowy w Warszawie": „Po zaledwie ośmiu minutach jazdy, pociąg zakończył bieg na stacji Warszawa Wschodnia, gdzie uroczystość, również przy akompaniamencie kolejowej orkiestry, dobiegła końca. Kilkanaście minut później, tą samą drogę pokonał już pierwszy planowy pociąg osobowy nr 831, który udał się dalej przez Siedlce i Brześć w kierunku Mikaszewicz. Początkowo na linię średnicową skierowano dwadzieścia sześć pociągów dalekobieżnych i dwa pociągi podmiejskie dziennie. Od października pociągów podmiejskich było już siedemdziesiąt dziennie".

W 1936 r. zakończono elektryfikację linii średnicowej prądem stałym o napięciu 3 kV. Stało się to według projektu prof. inżyniera Romana Podoskiego (1873-1954), twórcy planu zelektryfikowania całego warszawskiego węzła kolejowego.

Co ciekawe, wielu specjalistów kolejowych nie widziało w latach 30. potrzeby elektryfikacji kolei. „Dlatego – wyjaśnia dr Tucholski – zastosowano fortel polegający na zgłoszeniu w wniosku wstępnym elektryfikacji jedynie tunelu linii średnicowej, pod pozorem nie zadymiania miasta, by w dalszych dokumentach inwestycji zamieścić elektryfikacje całej sieci głównych linii węzła".

Polska Ludowa buduje

W trakcie wojny światowej linia średnicowa uległa znacznym zniszczeniom. Po powstaniu Niemcy wysadzili nie tylko most, tunel i Dworzec Główny, ale także wszystkie wiadukty i nasypy na Powiślu.

Po wojnie podjęto decyzję o natychmiastowej odbudowie linii, z dodatkową drugą parą torów. Wiaduktu nie odbudowano jednak w pełnej formie: zostawiono jedynie pojedyncze wiadukty nad ulicami. Miejscami zastąpiono je nasypem (na nasypie zbudowano stację Powiśle), a na tyłach Szpitala na Czerwonego Krzyża nasyp wykonano tylko po stronie Mostu Poniatowskiego. Otwarcie linii średnicowej odbyło się 23 czerwca 1949 r. Pierwszy udekorowany kwieciem pociąg, przy wiwatujących tłumach, przejechał przez most i tunel o godz. 19.15.

Docelowy układ komunikacyjny tunelu średnicowego wraz z nowymi przystankami: v Śródmieście, Powiśle i Ochota oddano do użytku w 1963 r. Ostatecznie projektanci Piotr Szymaniak i Arseniusz Romanowicz zaprojektowali sześć nowoczesnych dworców, w tym najważniejszy z nich – Dworzec Centralny, oddany do użytku 5 grudnia 1975 r.

eprasa.pl 2c5aa58040

POD PARAGRAFEM

• **Pamiętajcie o Parkerze** Zbliża się rocznica urodzin Roberta Browna Parkera (ur. 17 września 1932 r., zm. 18 stycznia 2010 r.), amerykańskiego autora powieści kryminalnych. Głównym bohaterem jego powieści jest rezolutny prywatny szpicel Spenser.

BIOGRAFIA

Henryk von Brühl, cynik, który zakulisowo rządził Rzeczpospolitą

Lucjan Strzyga

Przez kilka dekad XVIII w., w cieniu Sasów, intrygami Henryk von Brühl rządził Polską. Miał nieposkromiony apetyt na władzę i bajeczny majątek.

Fatalną opinię o Henryku von Brühlu ukuł w polskiej historiografii Władysław Konopczyński. Pisał o nim „szara eminencja Augusta III", która „wyręczała władcę okiem, uchem, myślą, wolą. I zawsze miała na podorędziu posłuszny zastęp kreatur".

„Brühl, są pieniądze?"

Brühl był, wedle ówczesnej tytulatury, hrabią cesarstwa niemieckiego, pierwszym saskim tajnym ministrem gabinetu i konferencji, rzeczywistym tajnym radcą, oberszambelanem, ober-podkomorzym, prezesem Kamery, naczelnym dyrektorem podatkowym, generalnym dyrektorem akcyzy, wyższym dyrektorem deputacji obrachunkowej, generalnym komisarzem do wrót Morza Bałtyckiego, nadinspektorem manufaktur porcelanowych, kapitulariuszem katedry miśnieńskiej, proboszczem katedry budziszyńskiej, głównodowodzącym kawalerią w Polsce. Należał do wolnomularskiej loży Trzech Braci.

Przede wszystkim jednak wiernie stał u boku Augusta III Wettyna. Jako jeden z niewielu dworaków miał do niego dostęp tuż po tym, jak monarcha wstawał z łoża i wypijał pierwszą filiżankę herbaty.

„Brühl, hab ich Geld?" - pytał rano król.

Ja, Majestät" - niezmiennie odpowiadał minister".

Ks. Jędrzej Kitowicz zapisał: „Kto z pospolitych obywatelów miał jaką suplikę do króla, podawał mu ją podczas tego marszu, nisko nachylony, albo na jedno kolano przyklęknąwszy. Król odebrawszy suplikę oddawał paziowi za sobą idącemu, a paź odnosił ją do ministra (Brühla), który podług woli swojej imieniem królewskim dawał na nie odpowiedzi albo też w kąt zarzucał".

Pensja Henryka Brühla wynosiła 90 tys. talarów rocznie. Pozostawił po sobie polityczne zgliszcza, fatalną reputację, a także największy w Europie zbiór zegarków i peruk

Jak się to zaczęło?

Henryk von Brühl urodził się 13 sierpnia 1700 r. w Gangloffsömmern w Turyngii. Od najmłodszych lat wykazywał zdolności do służby dworskiej. W 1719 r. został „srebrnym paziem" Augusta II, w 1729 r. - kamerjunkrem, a w roku 1730 - podkomorzym, później szambelanem saskim. W 1731 r. mianowano go dyrektorem akcyzy, kierownikiem finansów elektorskich, polityki zagranicznej i wewnętrznej elektoratu. Zasiadał w Radzie Tajnej, dysponował obsadą stanowisk duchownych. Od 1733 r. administrował górnictwem i dochodami dworu. Za swą służbę pobierał niebagatelną pensję - 90 tys. talarów rocznie, którą powiększał łapówkami.

Natychmiast po śmierci Augusta II jego następca August III wysłał Brühlowi instrukcję, co ma zrobić po śmierci króla. Miał zabezpieczyć papiery i wartościowe przedmioty, w tym insygnia koronacyjne, a następnie rozpocząć zabiegi o tron polski. Sam Brühl miał odpowiadać, że książęce „serce i skłonności kierowały się zawsze ku dobru polskiego narodu" i ma on nadzieję, iż zasługi ojca „skłonią Polaków do dania (...) pierwszeństwa przed innymi kandydatami, którzy wystąpią z aspiracjami do polskiego tronu". August III Wettyn włożył polską koronę 17 stycznia 1734 r. w katedrze na Wawelu.

Cynik, politykier

O jego talentach do intryg i cynizmie krążyły legendy. Po umiejętnym odsunięciu konkurenta, faworyta Augusta III, Aleksandra Józefa Sułkowskiego, który musiał w 1738 r. opuścić Drezno, zgromadził w swoich rękach praktycznie wszystkie najważniejsze urzędy saskie. Od roku 1738 do 1763 podlegał mu Tajny Gabinet - naczelny organ władzy w Saksonii. W 1746 r. otrzymał awans na wymarzoną funkcję - premiera-ministra.

W skomplikowanej sytuacji politycznej połowy XVIII w. von Brühl starał się, jakbyśmy dziś powiedzieli, realizować linię „ultrarealistyczną". Brühl zalecał współpracę z Rosją przeciw Prusom, które zagrażały Saksonii i Rzeczypospolitej. Kilkakrotne próby porozumienia i zyskania poparcia Prus dla planów reform w Rzeczypospolitej rozbijały się o wygórowane żądania terytorialne, na które August III nie chciał się zgodzić.

Od 1743 r. Brühl mocniej związał się z Rosją, popierając w Rzeczypospolitej interesy jej głównych stronników - Czartoryskich. Powód był prosty. W 1748 r. to właśnie Czartoryscy wpłynęli na pozytywny wyrok Trybunału Koronnego poświadczający jego polskie szlachectwo. Od tej chwili mógł nabywać również dobra ziemskie w Polsce, m.in. wsie Łomianki, Wola i kilka placów na przedmieściach Warszawy. W 1754 r. dokonał jednak zaskakującego posunięcia. Zerwał z Czartoryskimi i zbliżył się do kamaryli Jerzego Mniszcha, który w Dukli zawarł związek małżeński z jego córką Marią Amalią z Brühlów.

Buty i szlafroki

Pod koniec lat 50. Brühl z handlu urzędami zrobił prawdziwy majstersztyk. Gdy do Warszawy zjechał August III, jego minister brał pieniądze nawet za umożliwienie dostępu do króla. W ciągu krótkiego czasu zarobił 3 mln złotych polskich. Szlachta sarkała na podobne zdzierstwo, a 14 kwietnia 1758 r. hetman wielki koronny Jan Klemens Branicki ogłosił adresowany do króla manifest, w którym oskarżył Brühla o najgorsze zbrodnie. Był powszechnie czytany przez szlachtę. Brühl uratował wpływy, ale jego reputacja sporo ucierpiała, choć i tak nie była zbyt wysoka.

Rok później ukazała się po francusku anonimowa broszura „Życie i natura hrabiego B.". Jej autor, prawdopodobnie pruski urzędnik, dowodził, że za wszystkie nieszczęścia Saksonii odpowiada Brühl. Pisał o bogactwie ministra, o wystawności jego dworu, o tym, ile miał butów i ile szlafroków, a przede wszystkim - ile milionów talarów ukradł. Książeczkę czytano także w Polsce. Na sejmie 1762 r. atak na Brühla był już zupełnie jawny - Stanisław Poniatowski, przyszły król, zakwestionował prawo jego synów do bycia posłami oraz polskie szlachectwo ministra. Szlachta krzyczała, Konopczyński dodaje: „W czasie awantury dobyto szabel".

Koniec opowieści

Czy wpłynęło to na postępowanie Brühla? Niespecjalnie. Uszczuplony budżet koronny Brühl uzupełniał w sposób najbardziej efektywny: poprzez sprzedaż polskich wakansów, czyli nieobsadzonych stanowisk urzędniczych. I tak w 1761 r. sprzedał przykładowo podskarbiostwo koronne Teodorowi Wesslowi, który miał zagwarantować mu nielegalne dochody z nowo utworzonej mennicy polskiej. Nadal potrafił być bezwzględny. W 1761 r. buntującą się przeciwko saskiej korupcji szlachtę wielkopolską spacyfikował z pomocą 12-tysięcznego wojska rosyjskiego.

Rok 1763 r. był fatalny, zarówno dla Augusta III, jak i jego wszechwładnego ministra. 21 kwietnia niedomagający król wyjechał wraz z Brühlem z Warszawy, a 30 kwietnia ujrzał po raz pierwszy od 1756 r. zrujnowane przez Prusaków Drezno. Był wstrząśnięty. Poważnie zapadł na zdrowiu. Razem z nim rozchorował się i minister - miał dolegliwości żołądka i jelit, które powodowały krwawienie. Pracował już tylko w łóżku.

Brühla trudno jest bronić i wśród historyków trudno znaleźć kogoś, kto podjąłby się tego zadania. Kim bowiem był ów polityk, który pozostawił po sobie polityczne zgliszcza, fatalną reputację, a także największy w Europie zbiór zegarków, kamizelek oraz... misternie trefionych peruk.

Co po nim zostało? Przede wszystkim Pałac na warszawskich Młocinach, zbudowany w latach 1752-1758 według projektu Johanna Friedricha Knöbla na wiślanej skarpie, otoczony ogrodem, nazywany też Wilanowem Północy. Kolejna budowle to tarasy Brühla w Dreźnie, czyli promenada spacerowo-widokowa i pałac Brühla w Brodach.

eprasa.pl 2c5aa58040

PIŁKA NOŻNA

Godne pożegnanie Artura Jędrzejczyka. Derby dla Wisły

W Krakowie nie było żadnych sentymentów, choć właścicieli Wisły i Wieczystej łączą bliskie relacje. Korona niezwykle konkretna

Jacek Czaplewski

Weekend w PKO BP Ekstraklasie obfitował w emocje. Wisła, tak jak Cracovia tydzień temu, wygrała derby Krakowa z Wieczystą. Zwycięski wyjazd w Płocku zaliczył Korona Kielce w meczu z Wisłą, a Legia Warszawa w uroczysty sposób pożegnała Artura Jędrzejczyka.

6. kolejka wystartowała na Mazowszu. Wisła Płock zamierzała odkuć się po dwóch porażkach z rzędu, w tym bardzo dotkliwej z GKS Katowice. Jak jednak punktować, skoro niezmiennie szwankuje skuteczność? Drużyna prowadzonego przez Adama Majewskiego stworzyła wiele dogodnych sytuacji i żadnej z nich nie zamieniła na bramkę. Za to Korona Kielce okazała się niezwykle konkretna. Oklaskiwana z trybun przez swoich kibiców oraz prezesa Łukasza Maciejczyka wróciła na zwycięską ścieżkę, wygrywając u Nafciarzy pierwszy raz od 2020 roku. Po golu strzelili Morgan Fassbender i Mariusz Stępiński. Asystował im Wiktor Długosz. Pod nieobecność Dawida Błanika to właśnie ten zawodnik wyrasta na pierwszoplanową postać drużyny.

W piątek doszło również do niewątpliwego hitu. Legia Warszawa była dosłownie sekundy od pierwszej porażki od kwietnia. Ratunek kolejny raz nadszedł w ostatniej chwili. Tym razem remis uratował dla niej Rafał Adamski. Do tego feralnego momentu Śląsk Wrocław grał tak, że miał prawo myśleć o sensacyjnej wygranej. Jeszcze przed przerwą objął prowadzenie za sprawą rzutu karnego Piotra Samica-Talara, by w drugiej połowie zmarnować dwie wyborne okazje obronione w spektakularnym stylu przez Otto Hindricha.

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Legia Warszawa pożegnała klubową legendę – Artura Jędrzejczyka

To był szczególny wieczór przy Łazienkowskiej ze względu na Artura Jędrzejczyka. Najbardziej utytułowany piłkarz Legii (czternaście zdobytych trofeów) zagrał po raz ostatni, czyli 420. Specjalnie na tę okoliczność podpisano z nim nowy kontrakt, bo poprzedni wygasł w czerwcu. Wybiegł z opaską kapitana, zaczął od środka, a potem walczył ze łzami, gdy około 27 000 wdzięcznych gardeł dziękowało mu za piękną karierę.

Był szpaler i efektowna oprawa o „Ostatnim z gatunku". Klub zastrzegł dla niego numer 55, tak jak kiedyś nr 10 Kazimierza Deyny. Po ostatnim gwizdku w meczu popularny „Jędza" z rąk prezesa Dariusza Mioduskiego odebrał okolicznościową paterę. Zjawił się też na słynnej „Żylecie", skąd poprowadził doping. Jeszcze nie wie, co będzie robić, ale zapewnił, że na stadion wróci – jako kibic.

Sentymentów nie było w sobotę w Krakowie, choć właścicieli Wisły i Wieczystej łączą bliskie relacje. W derbach momentami iskrzyło na boisku. „Biała Gwiazda" okazała się lepsza, psując tym samym debiut trenera gości Željko Kopicia. Już szóstego gola w sezonie strzelił Jordi Sanchez, lider klasyfikacji strzelców, który miał być przecież tylko zmiennikiem Angela Rodado.

Zaskoczeń w ten weekend mieliśmy zresztą więcej. Radomiak Radom w końcu zagrał na miarę oczekiwań. Z Cracovią odwrócił rezultat dzięki dubletowi Rafała Wolskiego. Ciemne chmury zbierają się za to nad nowym trenerem Motoru Lublin. Podopieczni Mariusza Misiury zostali w końcówce wypunktowani na własnym stadionie przez Piasta Gliwice i tym samym przegrali już trzeci z pięciu rozegranych meczów. W mediach plotkuje się o powrocie Goncalo Feio, ale wiceprezes Motoru Łukasz Jabłoński zapewnił, że to nieprawda.

6. KOLEJKA EKSTRAKLASY

WISŁA PŁOCK - KORONA KIELCE 0:2
Bramki: Fassbender 21, Stępiński 49

LEGIA WARSZAWA - ŚLĄSK WROCŁAW 1:1
Bramki: Samiec-Talar 35-karny - Adamski 90+4

KGHM ZAGŁĘBIE LUBIN - POGOŃ SZCZECIN 0:0

WISŁA KRAKÓW - WIECZYSTA KRAKÓW 2:0
Bramki: Sanchez 54, Guillemenot 80

RADOMIAK RADOM - CRACOVIA KRAKÓW 2:1
Bramki: Wolski 55, 64-karny - Minczew 47

MOTOR LUBLIN - PIAST GLIWICE 0:2
Bramki: Rivas 78, Mucha 90+2

TABELA PKO BP EKSTRAKLASA

1. Legia Warszawa	6	12	12-4
2. Wisła Kraków	6	10	12-10
3. Górnik Zabrze	3	9	7-3
4. Pogoń Szczecin	5	8	7-4
5. Korona Kielce	5	8	6-4
6. KGHM Zagłębie Lubin	5	8	5-4
7. Cracovia Kraków	6	8	6-7
8. Lech Poznań	3	7	5-1
9. Piast Gliwice	6	7	10-13
10. Radomiak Radom	6	7	6-13
11. GKS Katowice	4	6	9-4
12. Widzew Łódź	5	6	8-7
13. Jagiellonia Białystok	3	6	3-3
14. Śląsk Wrocław	6	6	8-9
15. Motor Lublin	6	5	6-10
16. Wisła Płock	5	4	3-10
17. Wieczysta Kraków	5	3	8-12
18. Raków Częstochowa	3	0	3-6

W przypadku równej liczby punktów o kolejności w tabeli decydują bezpośrednie mecze

Program 7. kolejki:

Piątek, 04.09
Piast Gliwice - GKS Katowice (godz. 20.30)

Sobota, 05.09
Widzew Łódź - Radomiak Radom (godz. 14.45)
Korona Kielce - Wisła Kraków (godz. 17.30)
Motor Lublin - Legia Warszawa (godz. 20.15)

Niedziela, 06.09
Cracovia Kraków - Górnik Zabrze (godz. 14.45)
Lech Poznań - Raków Częstochowa (godz. 17.30)
Jagiellonia Białystok - Śląsk Wrocław (godz. 0.15)

Poniedziałek, 07.09
Wieczysta Kraków - KGHM Zagłębie Lubin (godz. 18.00)
Pogoń Szczecin - Wisła Płock (godz. 20.30)

JEDENASTKA KOLEJKI

NAJLEPSI STRZELCY

6 goli
Jordi Sánchez (Wisła)
3 gole
Rafał Adamski, Łukasz Zjawiński (obaj Legia), Tobias Christensen (Wieczysta), Karol Czubak (Motor), Morgan Fassbender, Mariusz Stępiński (obaj Korona), Ajdin Hasić (Cracovia), Piotr Samiec-Talar (Śląsk), Leandro Sanca (Piast), Rafał Wolski (Radomiak)
2 gole
Fran Alvarez, Sebastian Bergier (obaj Widzew), Przemysław Banaszak (Śląsk), Marko Božić (Wisła), Peter Federico (Górnik), Bartosz Kapustka (Legia), Patryk Makuch (Raków), Nik Prelec (Jagiellonia), Allahyar Sayyadmanesh (Lech), Ilja Szkurin (GKS Katowice)

BOHATER WEEKENDU

Rafał Wolski (Radomiak)
Kapitan tuż po rozegraniu setnego występu właściwie w pojedynkę znalazł sposób na Cracovię. Najpierw pomógł mu rykoszet, potem wykorzystał jedenastkę. Co ciekawe, raz uderzył lewą, raz prawą nogą.

FOT. PAP/PIOTR POLAK

PIŁKA NOŻNA

Legia Warszawa ma być taka, jak Artur „Jędza" Jędrzejczyk

Jacek Czaplewski

– Ciężko mi znaleźć odpowiednie słowa – mówił wyraźnie poruszony Artur Jędrzejczyk. Legendarny piłkarz Legii Warszawa przeciwko Śląskowi Wrocław rozegrał swój ostatni mecz. Takiego pożegnania się nie spodziewał.

Artur Jędrzejczyk miał odejść z Legii po ostatnim spotkaniu ubiegłego sezonu, wtedy jednak z drużyny odchodziło więcej piłkarzy. W klubie uznano, że najbardziej utytułowany zawodnik, z drugą najwyższą liczbą występów, zasługuje na oddzielny hołd. I tak też się stało w piątkowy wieczór.

– Dziękuję całej drużynie i trenerowi, że mogłem ostatnie dni spędzić z wami, poczuć te emocje. To jest coś nie do opisania... W życiu nie spodziewałem się takiego pożegnania. Dziękuję kibicom za te wszystkie lata. Dziękuję mojej całej rodzinie. Żonie, córeczce – kocham was. Na pewno bez was bym tego nie osiągnął – mówił wyraźnie wzruszony 38-latek.

Na boisku spędził dosłownie sekundy od rozpoczęcia. Jego ukochana drużyna wyszarpała zaś remis na sekundy przed końcem meczu. – Legia powinna wyglądać tak jak dzisiaj, czyli walcząca do samego końca. Głowa do góry, chłopaki, bo mam nadzieję, że będę się z wami bawić także na Starówce – mówił do piłkarzy Jędrzejczyk, licząc na tytuł mistrzowski w tym sezonie.

Jędrzejczyk zapewnił, że pozostanie stałym bywalcem stadionu. – Będę tutaj oczywiście przychodził i będę starał się być jak najbliżej klubu. Teraz będę miał więcej czasu na przemyślenie, co dalej – stwierdził tajemniczo.

Bohaterowi komplementów nie szczędził trener Marek Papszun. – Jestem dumny, że mogłem poprowadzić Legię w tak wielkim meczu – stwierdził. – Żegnaliśmy wybitnego piłkarza Legii i całej polskiej piłki. Trudno zastąpić takich ludzi. Chcielibyśmy być tacy, jak Artur Jędrzejczyk: drużyną z charakterem, która się poświęci, ma pasję, jest zdeterminowana i ma jakość. Niestety, w pierwszej połowie nam tego zabrakło, a w drugiej było już znacznie lepiej. Nie jest łatwo być Arturem. Kibice stanęli na wysokości zadania. Dobrze, że wyszliśmy z twarzą, bo słabo, gdyby Artur zapamiętał, że jego ostatni mecz to porażka – usłyszeliśmy od szkoleniowca legionistów.

Papszuna pytano na konferencji o przedmeczowe nagrywanie treningu Śląska, którego dopuścił się jeden z członków jego sztabu. – Robimy wszystko, co jest dozwolone. Jeśli ktoś ma do nas zastrzeżenia, to trzeba uwagi kierować do odpowiednich komisji – odparł Marek Papszun.

eprasa.pl 2c5aa58040

ŻUŻEL

Znów się nie udało. Polacy tylko z brązowymi medalami

Czy to jest naprawdę klątwa? Znów nie udało się odegrać Mazurka Dąbrowskiego po zawodach na Stadionie Narodowym w Warszawie

Cezary Konarski

Żużlowa reprezentacja Polski zajęła trzecie miejsce w Finale Drużynowego Pucharu Świata. Złoty medal wywalczyła Australia, a srebrny Dania. Apetyty Biało-Czerwonych były zdecydowanie większe.

Polacy wygrali dziewięć z 18 edycji DPŚ, triumfowali w trzech ostatnich finałach. Dlatego polscy kibice liczyli na to, że nasi żużlowcy znów sięgną po tytuł, tym razem w stolicy. I zdejmą tzw. klątwę z PGE Narodowego. Bo należy zauważyć, że jeszcze nigdy Mazurek Dąbrowskiego nie wybrzmiał podczas ceremonii zakończenia zawodów w Warszawie. A rozegranych tu było już dziewięć turniejów z cyklu Grand Prix (2015-2019, 2022-2025). Polacy stawali na podium, ale nigdy na najwyższym stopniu.

Sytuacja powtórzyła się w sobotę. Po raz pierwszy w Warszawie rozegrany został Finał Drużynowego Pucharu Świata. Turniej z udziałem Polaków, Duńczyków, Brytyjczyków i Australijczyków znakomicie rozpoczęli ci ostatni. W pierwszej serii startów wygrali wszystkie cztery wyścigi. Po kolejnych czterech biegach „Kangury" powiększyły przewagę nad drugą Polską do ośmiu punktów. Stało się jasne, że gospodarzom nie będzie łatwo dogonić tak rozpędzonych rywali. Tym bardziej, że z ośmiu gonitw tylko jedną wygrali (Bartosz Zmarzlik w 8. wyścigu).

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Radość Australijczyków po triumfie na stadionie PGE Narodowym

Później nie było lepiej, Polacy nie triumfowali w trzeciej serii, a coraz bardziej naciskali na nich Duńczycy i Brytyjczycy. Po kolejnych czterech biegach gospodarze spadli na trzecie miejsce, tylko Kacper Woryna, zastępujący Dominika Kuberę, znalazł sposób na wygranie wyścigu (w 13. gonitwie). Kiedy powtórzył swój indywidualny sukces w 17. biegu, wydawało się, że Polacy mogą realnie myśleć o srebrnym medalu. Nic z tego, w kolejnych startach ani razu nie udało im się pokonać wszystkich rywali.

WYNIKI FINAŁU DPŚ W WARSZAWIE

1. Australia - 38 pkt.: Ryan Douglas 10 (3,3,3,0,1), Brady Kurtz 11 (3,2,1,3,2), Jason Doyle 10 (3,2,w,2,3), Max Fricke 7 (3,0,0,1,3), Rohan Tungate ns; **2. Dania - 30 pkt.:** Mikkel Michelsen 12 (2,3,2,3,2,w), Leon Madsen 5 (0,1,0,2,2), Michael Jepsen Jensen 5 (0,-,2,3,0), Anders Thomsen 8 (0,-,3,2,3), Frederik Jakobsen 0 (0); **3. Polska - 29 pkt.:** Bartosz Zmarzlik 11 (1,3,2,2,1,2), Maciej Janowski 2 (1,1,-,-,-), Dominik Kubera 2 (2,0,-,-,-), Patryk Dudek 5 (2,1,1,1,-), Kacper Woryna 9 (1,3,w,3,1,1); **4. Wielka Brytania - 23 pkt.:** Robert Lambert 14 (1,3,2,3,3,2), Charles Wright 5 (1,2,1,1,0), Adam Ellis 3 (2,0,0,0,1), Leon Flint 1 (0,1,-,0,0), Tom Brennan ns.

SPORT

Szef polskiego ruchu olimpijskiego w opałach

Paweł Wiśniewski

W sobotę zakończyło się posiedzenie katowickiego sądu, który rozpoznawał wniosek prokuratury o tymczasowe aresztowanie szefa PKOl Radosława Piesiewicza, podejrzanego w sprawie Zondacrypto. Decyzja? Trzy miesiące aresztu.

Radosław Piesiewicz (wyraził dziennikarzom zgodę na podanie swojego pełnego imienia i nazwiska) został zatrzymany w czwartek w Warszawie. Tego samego dnia w śląskim wydziale Prokuratury Krajowej usłyszał zarzuty płatnej protekcji oraz zaspokojenia grupy wierzycieli Zondacrypto z pokrzywdzeniem innych w związku z grożącą niewypłacalnością.
Nie przyznaje się do winy. Po przesłuchaniu podejrzanego, które kontynuowano w piątek, prokuratura poinformowała o skierowaniu wniosku o aresztowanie podejrzanego na trzy miesiące.

FOT. PAP/JAREK PRASZKIEWICZ

Od strony prawnej odwołanie szefa PKOl może być trudne

Szef PKOl został doprowadzony do sądu w piątek wieczorem. Posiedzenie aresztowe rozpoczęło się około północy i trwało do piątej rano.

Jak wynika z relacji jednego z pracowników sądu, po jego zakończeniu Radosław Piesiewicz został wyprowadzony przez policję tylnym wyjściem i wywieziony samochodem w nieznanym kierunku.

Kilka godzin wcześniej, kiedy szef PKOl był wprowadzany do gmachu sądu, czekającym na miejscu dziennikarzom przez chwilę udało się z nim porozmawiać. Oświadczył, że czuje się niewinny.

Pytany o przesłuchanie w prokuraturze odpowiedział, że udzielił wszystkich szczegółowych informacji, a ostatnie godziny to „nic sympatycznego".

- Straciłem 200 000 euro, zapłaciłem za zegarek, do czego mam się przyznawać? - pytał podejrzany.

Dodał przy okazji, że nieprawdą jest twierdzenie prokuratury, jakoby odzyskał pieniądze z Zondacrypto.

Zapewnił, że w późniejszym czasie udzieli bardziej szczegółowych informacji. - Wszystkiego dobrego i mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy - powiedział Piesiewicz, wprowadzany do sądu.

LEKKOATLETYKA

Rekordy świata Weltklasse nie przebiły naszej „Kamy". Niestety, świat ucieka Polakom

Paweł Wiśniewski

Kwartet Polaków zakwalifikował się do finału Diamentowej Ligi, który w dniach 4-5 września odbędzie się w Brukseli. To: Natalia Bukowiecka (400 m), Klaudia Kazimierska (1500 m), Pia Skrzyszowska (100 m ppł.) i Mateusz Kołodziejski (wzwyż).

Podczas mityngu lekkoatletycznego Bank Spółdzielczy Jurand Cup, który odbył się w Szczytnie, mąż Natalii Bukowieckiej - Konrad Bukowiecki pchnął kulę na odległość 20.80 m. To jego drugi najlepszy tegoroczny wynik - 31 maja uzyskał 21.34 m, ale później doznał kontuzji, która wymusiła przerwę w treningach.

Seria Bukowieckiego: 20.27 m - 19.77 m - x - x - 20.80 m - 20.23 m).

W niemieckim Heilbronn Mateusz Kołodziejski uplasował się na 2. miejscu w konkursie skoku wzwyż. Wygrał Japończyk Tomohiro Shinno, a za Polakiem uplasował się były podopieczny polskiego trenera Stanisława Szczyrby - Katarczyk urodzony w sudańskiej rodzinie - Mutaz Essa Barsham.

Wszyscy zaliczyli wysokość 2.25 m, ale trzykrotnie strącili 2.28 m.

Mateusz Kołodziejski triumfował w klasyfikacji generalnej What Gravity Challenge - serii rozgrywanych na całym świecie mityngów skoku wzwyż.

Zaplanowany na 2 października br. mityng Athlos w Nowym Jorku został odwołany. Obsada miała być gwiazdorska, z Polski na te zawody wybierała się Natalia Bukowiecka.

18 września br. - zgodnie z zapowiedziami - odbędzie się jedyny tegoroczny mityng Athlos na StoneX Stadium w londyńskiej dzielnicy Barnet.

Podczas kultowego mityngu Wanda Diamond League - Weltklasse w Zurychu ustanowiono aż dwa rekordy świata.

Amerykanka Masai Russell pokonała 100 metrów przez płotki w czasie 12.09!

Tym samym na Stadion Letzigrun Russell poprawiła o 0.03 sekundy rekord globu Tobi Amusan sprzed trzech lat. W Zurychu Nigeryjka była druga z czasem 12.23, a trzecia zameldowała się na mecie Nadine Visser z Holandii - 12.34 (najlepszy tegoroczny czas w Europie).

Pia Skrzyszowska była szósta - 12.70.

Z kolei w biegu na 400 metrów przez płotki Brazylijczyk Alison dos Santos uzyskał czas 45.80.

Poprzedni najlepszy wynik na tym dystansie należał do Norwega Karstena Warholma, który podczas tokijskich Igrzysk XXXII Olimpiady w 2021 roku osiągnął 45.94.

Warholm na własne oczy zobaczył, jak rywal odbiera mu rekord. Norweg przybiegł drugi, z czasem 46.69.

Rekord świata (6.32 m) próbował atakować tyczkarz Armand Duplantis. Szwed tym razem rekordu nie poprawił, a wygraną dała mu wysokość 6.25 m. Grek Emanuil Karalis osiągnął 6.20 m, a Norweg Sondre Guttormsen - 6.00 m.

Na 800 metrów bardzo wartościowy wynik osiągnęła Audrey Werro. 22-letnia Szwajcarka miała czas 1:53.70, co czyni ją najszybciej biegającą na tym dystansie w XXI wieku.

Tegoroczne Weltklasse w Zurychu zostało drugim najlepszym mityngiem w historii rozegranym w Europie - Memoriał Kamili Skolimowskiej obronił pierwsze miejsce o 221 punktów.

FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS

Konrad i Natalia Bukowieccy pobrali się 28 września 2024 roku

eprasa.pl 2c5aa58040

SIATKÓWKA

Mistrzostwa Europy w siatkówce kobiet. Polki walczą dziś z Portugalią o awans do ćwierćfinału

Zbigniew Czyż

Reprezentacja Polski siatkarek zagra dziś w 1/8 finału mistrzostw Europy. Rywalem Polek, które w swojej grupie zajęły pierwsze miejsce, będzie Portugalia.

W swoim ostatnim meczu grupowym polskie siatkarki po dwuipółgodzinnym pojedynku pokonały w Stambule gospodynie turnieju Turcję 3:2 (15:25, 25:21, 25:22, 16:25, 15:10). Biało-Czerwone zanotowały bez wątpienia najlepszy występ w turnieju. W Sinan Erdem Sports Hall zasiadł komplet, blisko 16 tysięcy widzów. Przed spotkaniem Polski Związek Piłki Siatkowej poinformował o zmianie w kadrze. Libero Aleksandrę Szczygłowską, która z powodów zdrowotnych nie wystąpiła w trzech ostatnich spotkaniach, zastąpiła Klaudia Łyduch.

Mecz miał bardzo różne oblicza, oba zespoły miały swoje lepsze i gorsze momenty. Wydawało się, że będzie to jednocześnie starcie atakujących Melissy Vargas i Magdaleny Stysiak, tymczasem rolę liderek przejęły inne zawodniczki. Zwycięzcę spotkania wyłonił dopiero piąty set, czyli tie-break, w którym Polki zwyciężyły 15:10.

Mimo wygranej, w polskiej kadrze nie było hurraoptymizmu. Co więcej, siatkarki znad Wisły zasugerowały w rozmowie z Polsatem Sport, że Turczynki celowo przegrały to spotkanie, by zająć drugie miejsce w grupie A. Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że zwycięzca „polskiej" grupy w półfinale turnieju trafi na aktualne mistrzynie olimpijskie i świata – Włoszki.

– Cieszę się, że miałam szansę pokazać się z dobrej strony. Kiedy przeciwnik ci się podkłada, trudno o to, żeby nic nie wychodziło – przyznałana po meczu Paulina Damaske.

Potencjalne niesportowe zachowanie gospodyń zasugerowała też Magdalena Stysiak. – Rywalki też... Nie powiem tego – oświadczyła kapitan reprezentacji Polski.

W poniedziałek o godz. 18 Polki zmierzą się w 1/8 finału z Portugalią. W ostatnim spotkaniu rozegranym między Biało-Czerwonymi a Portugalkami triumfowały nasze siatkarki, zwyciężając w 2019 roku w mistrzostwach Europy 3:0. W przypadku awansu Polki w ćwierćfinale zagrają ze zwycięzcą spotkania Holandia – Słowenia, a gdyby awansowały do półfinału, to w nim najprawdopodobniej zmierzą się ze wspomnianymi Włoszkami.

W pozostałych spotkaniach 1/8 finału zagrają: Włochy z Bułgarią, Czechy ze Szwecją, Belgia z Niemcami, Serbia z Chorwacją oraz Francja z Grecją.

W imprezie, którą organizują cztery kraje – Turcja, Czechy, Szwecja oraz Azerbejdżan – wystartowały dwadzieścia cztery reprezentacje, które w pierwszej fazie turnieju podzielone zostały na cztery grupy, w każdej po sześć drużyn. Spotkania grupy A rozgrywano w Stambule, grupy B w Brnie, grupy C w Baku, a grupy D w Göteborgu. Awans do fazy play-off wywalczyły po cztery najlepsze drużyny z każdej z grup, łącznie szesnaście reprezentacji. Rywalizacja w fazie pucharowej rozpocznie się od 1/8 finału. Mecze tej części turnieju oraz ćwierćfinały odbędą się w Stambule, gdzie do drużyn z grupy A dołączą zespoły z grupy C, oraz w Brnie. W Czechach skrzyżują się ekipy z grup B i D.

Decydująca faza mistrzostw Europy, czyli półfinały i finał, odbędą się w Stambule.

FOT. SZYMON GRUCHALSKI

W fazie grupowej podopieczne Stefano Lavariniego spisały się znakomicie. Biało-Czerwone wygrały wszystkie pięć spotkań

WSPINACZKA SPORTOWA

Nasza mistrzyni żegna się z kibicami. Brązowy medal i łzy wzruszenia. Olu, dziękujemy!

Paweł Wiśniewski

Aleksandra Mirosław - mistrzyni olimpijska we wspinaczce sportowej na czas, była rekordzistka globu i najbardziej utytułowana zawodniczka tej konkurencji - brązowym medalem mistrzostw Europy zakończyła karierę sportową.

We francuskiej miejscowości Laval, w regionie Kraj Loary, gdzie urodził się znany piłkarz Pierre-Emerick Aubameyang, w rywalizacji o 3. miejsce Ola Mirosław pokonała broniącą tytułu Natalię Kałucką.

Mirosław uzyskała w decydującym o medalu starcie czas 6.18 sekundy, a rywalka - 6.44.

W finale spotkały się Jelizawieta Iwanowa, występująca jako zawodniczka neutralna, która w półfinale była minimalnie lepsza od Mirosław, oraz Beatrice Colli, która pokonała Natalię Kałucką. Włoszka od początku miała lekką przewagę, a po tym, jak rywalka popełniła błąd w środkowej fazie, wygrała zdecydowanie czasem 6.55.

Mistrzyni olimpijska po swoim ostatnim, zwycięskim starcie otrzymała owację na stojąco od zgromadzonej publiczności. Emocje były tak wielkie, że Polka na kilkanaście sekund ukryła twarz w dłoniach. Potem przytuliła się do męża i jednocześnie trenera - Mateusza Mirosława.

Po dekoracji medalowej nasza zawodniczka otrzymała natomiast pamiątkową tablicę, na której znalazły się najważniejsze osiągnięcia w karierze uszeregowane chronologicznie. Pierwszym był 2009 rok i złoty medal mistrzostw świata juniorów we francuskim Valence.

Mirosław, poza olimpijskim złotem z Paryża, ma w dorobku dwa złote medale mistrzostw Europy (2019 i 2022) oraz trzy mistrzostwa świata (2018-19, 2025).

Do lipca była również rekordzistką globu, gdy Amerykanka Emma Hunt w ćwierćfinale Pucharu Świata na krakowskim Rynku uzyskała 5.99.

„Życiówka" Oli to 6.03.

FOT. WOJCIECH MATUSIK / POLSKAPRESS

Pochodząca z Lublina Aleksandra Mirosław poprawiała rekord świata we wspinaczce sportowej aż 11-krotnie. Niebywałe

SIATKÓWKA

Ostatni sprawdzian Polaków przed mistrzostwami Europy

Jacek Kmiecik

Reprezentacja Polski siatkarzy pokonała Słowenię i USA w Memoriale Huberta Jerzego Wagnera w Krakowie. Turniej jest praktycznie ostatnim sprawdzianem przed mistrzostwami Europy, gdzie Biało-Czerwoni będą bronić tytułu.

W piątek w Tauron Arenie Polacy zwyciężyli Słoweńców 3:2 (26:24, 21:25, 25:19, 23:25, 15:11). Najwięcej punktów dla Polski zdobyli Bartłomiej Bołądź – 24 i Jakub Majchrzak – 10, a dla Słowenii Nik Mujanović – 24 i Rok Bracko – 12 oraz Jan Kozamernik – 11 i Saso Stalekar – 10. W pierwszym secie parkiet musiał opuścić środkowy Bartłomiej Lemański, który doznał urazu stawu skokowego. Zastąpił go Jakub Nowak. W pierwszym spotkaniu Francuzi wygrali z Amerykanami 3:0 (28:26, 25:21, 25:23).

W sobotę podopieczni Nikoli Grbicia poradzili sobie z Amerykanami 3:1 (22:25, 25:15, 25:20, 25:22). Najwięcej punktów dla Polski uzyskali Majchrzak – 13 i Kewin Sasak – 12, a dla USA Aaron Russell – 20 i Cooper Robinson – 12. Wcześniej Francuzi pokonali Słoweńców 3:1 (16:25, 25:21, 25:15, 25:21).

W niedzielę o pierwsze miejsce w turnieju Biało-Czerwoni zmierzyli się z dwukrotnymi mistrzami olimpijskimi – Francuzami.

Środkowy Szymon Jakubiszak przyznał, że on i jego koledzy z reprezentacji nie są jeszcze w formie, jaką chcą prezentować podczas zbliżających się mistrzostw Europy. – Jesteśmy w takim, a nie innym okresie treningowym, a do mistrzostw Europy zostało jeszcze trochę czasu. Jest możliwość, aby wprowadzić w życie ewentualne poprawki – powiedział zawodnik Zaksy Kędzierzyn-Koźle.

Memoriał Wagnera rozgrywany jest od 2003 roku, z przerwą w 2020 roku, kiedy nie odbył się z powodu pandemii COVID-19. Od 2016 roku jego gospodarzem jest krakowska Tauron Arena. Celem turnieju jest uhonorowanie pamięci najwybitniejszego polskiego trenera siatkówki – Huberta Jerzego Wagnera, który doprowadził reprezentację do mistrzostwa świata w 1974 roku i złotego medalu olimpijskiego w 1976 roku.

eprasa.pl 2c5aa58040

TENIS

Wystartował US Open w Nowym Jorku. Świątek czeka, co przyniesie przyszłość

Jacek Kmiecik

Wystartował ostatni z czterech Wielkich Szlemów - US Open na kortach Flushing Meadows w Nowym Jorku z udziałem szóstki Biało-Czerwonych w turniejach singlistek i singlistów.

Rywalizację rozpoczął wczoraj Kamil Majchrzak pojedynkiem z Serbem Hamadem Medjedoviciem. Dzisiaj i jutro wystąpi pięcioro reprezentantów Polski, wśród nich jedna z faworytek Iga Świątek.

W nocy z poniedziałku na wtorek na Louis Armstrong Stadium zaprezentuje się rozstawiona z numerem 8 i mająca teoretycznie korzystną drabinkę Świątek, triumfatorka tej imprezy z 2022 roku. Jej mecz z Chinką Xiyu Wang rozpocznie się o godzinie 1.00 (19.00 w Nowym Jorku).

25-latka z Raszyna przetrwała pierwszą połowę kampanii wyjątkowo trudną, jak na swoje wysokie standardy.

Dotarła do ćwierćfinału Australian Open, w którym przegrała z późniejszą zwyciężczynią Jeleną Rybakiną, odpadła w czwartej rundzie Rolanda Garrosa, w którym wcześniej odnosiła sukcesy, i odpadła z Wimbledonu w trzeciej rundzie, nie potrafiąc obronić tytułu.

Świątek, która spadła na ósme miejsce w światowym rankingu, zdobyła swój pierwszy tytuł sezonu na początku tego miesiąca, pokonując Rybakinę w finale Canadian Open w Toronto, co pozwoliło jej nabrać pewności siebie przed ostatnim w tym roku turniejem Wielkiego Szlema.

Po zdobyciu swojego pierwszego tytułu wielkoszlemowego w Roland Garros w 2020 roku Iga zdobywała co najmniej jedno trofeum Wielkiego Szlema w każdym sezonie od 2022 roku i będzie chciała podtrzymać tę passę.

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Iga Świątek w rozmowie ze swoją psycholożką Darią Abramowicz

- Dla mnie to z pewnością nie był łatwy sezon. Prawdopodobnie najtrudniejszy i najbardziej wymagający - powiedziała na sobotniej konferencji najlepsza polska tenisistka.

- Ostatnie dwa turnieje (Canadian Open i Cincinnati Open) były bardzo udane. Mimo że przegrałam w Cincinnati, ten mecz z Jess (Jessicą Pegulą w półfinale) był naprawdę na wysokim poziomie. Czuję się więc zadowolona ze swojej gry i ze zmian, które wprowadziłam. Teraz już tylko czekam na to, co przyniesie przyszłość - dodała.

Wcześniej w poniedziałek zagra finalistka tegorocznego French Open Maja Chwalińska. Na obiekcie Grandstand jej pojedynek z Amerykanką Taylor Townsend zaplanowano jako drugi (pierwszy rozpocznie się o godzinie 17.00).

Identycznie wygląda sytuacja z Hubertem Hurkaczem. On też wyjdzie na kort (numer 12) jako drugi i tuż po kobiecym pojedynku. Zmierzy się z Bośniakiem Damirem Dzumhurem zapewne około godziny 19.00.

Dwie pozostałe Biało-Czerwone Magdalena Fręch i Magda Linette zagrają we wtorek. Rywalką Fręch będzie rozstawiona z czternastką reprezentantka gospodarzy Iva Jovic, a Linette zagra z brytyjską kwalifikantką Francescą Jones. Jeśli Fręch i Linette przebrną pierwszą rundę, to w kolejnej zmierzą się ze sobą.

W kwalifikacjach odpadli: Martyna Kubka, Linda Klimovicova, Katarzyna Kawa i Maks Kaśnikowski.

Tytułów bronią słabo spisująca się ostatnio Białorusinka Aryna Sabalenka oraz wracający po czteromiesięcznej przerwie spowodowanej kontuzją Hiszpan Carlos Alcaraz.

Finał gry pojedynczej kobiet odbędzie się 12 września, a mężczyzn - dzień później.

Pula nagród w tegorocznych zawodach wyniesie rekordowe 108 milionów dolarów. Zwycięzcy gry pojedynczej kobiet i mężczyzn otrzymają po 5,5 mln USD, czyli o pół miliona „zielonych" więcej niż zeszłoroczni triumfatorzy.

US Open odbywa się od 1881 roku. Pierwszy turniej rozegrano na kortach w Newport w stanie Rhode Island. Trzy lata później zawody przeniosły się do Nowego Jorku i od tamtej pory miasto to jest stałym punktem programu. Od 1978 roku turniej odbywa się na Flushing Meadows. Centrum tenisowe zostało później nazwane na cześć Billie Jean King, jednej z najbardziej wpływowych postaci w historii amerykańskiego tenisa.

W tym czasie US Open stał się czymś więcej niż tylko kolejnym turniejem Wielkiego Szlema. Rozgrywany jest na oczach ogromnego miasta, przy wrzawie trybun i w atmosferze, w której dystans między sportowym świętowaniem a odrobiną szaleństwa bywa zaledwie dogrywką.

W erze Open rekord największej liczby tytułów US Open wśród mężczyzn należy do Szwajcara Rogera Federera i Amerykanów Jimmy'ego Connorsa oraz Pete'a Samprasa, z których każdy ma na koncie po pięć. Wśród kobiet rekord należy do Amerykanek Sereny Williams i Chris Evert, z których każda ma na koncie po sześć tytułów.

KAJAKARSTWO

Oleksii Koliadych mistrzem świata. Brąz Anny Puławskiej

Zbigniew Czyż

Kanadyjkarz Oleksii Koliadych zdobył w Poznaniu złoty medal mistrzostw świata w nieolimpijskiej konkurencji C1 na 200 metrów. Polak w finale o 0,10 s pokonał Uzbeka Artura Gulijewa, a trzeci był Białorusin Andriej Żolabau.

Koliadych po raz trzeci sięgnął po mistrzostwo świata na tym dystansie – wcześniej triumfował w 2022 i 2024 roku. Jak przyznał, złoty medal wywalczony na Torze Regatowym Malta przyniósł mu wiele radości.

– Tak sobie wyobrażałem ten bieg przez ostatni miesiąc, śniło mi się to zwycięstwo. Zrobiłem wszystko na sto procent i są tego efekty. Na mecie czułem, że wygrałem, ale nie byłem do końca pewien. Dopiero koledzy powiedzieli, że zwyciężyłem, a podpływając do pomostu, już słyszałem okrzyki. To niesamowite uczucie – opowiadał Koliadych, który przy okazji tego zwycięstwa wywalczył cenne punkty do rankingu olimpijskiego dla naszej reprezentacji.

Brązowy medal w K1 na 500 metrów wywalczyła Anna Puławska. Polka zajęła trzecie miejsce ex aequo z Australijką Natalią Drobot. Triumfowała Niemka Pauline Jagsch przed Nowozelandką Aimee Fisher. Niewiele do medalu zabrakło kobiecej osadzie K4. Sandra Ostrowska, Dominika Putto, Julia Olszewska i Katarzyna Kościółek zajęły czwarte miejsce ex aequo ze Słowaczkami; wygrały Chinki. Piąte miejsce wywalczyła męska czwórka podwójna w składzie: Dominik Czaja, Mateusz Biskup, Mirosław Ziętarski i Konrad Domański, z kolei męska czwórka w składzie: Jakub Stepun, Valerii Vichev, Jarosław Kajdanek, Sławomir Witczak finiszowała na siódmym miejscu na dystansie 500 m; złoto zdobyli Niemcy.

Debiut w seniorskich MŚ w świetnym stylu zaliczyła Weronika Marczewska. W finale K-1 1000 m kobiet nasza zawodniczka, dla której to ostatni sezon w kategorii U-23, zajęła siódme miejsce.

KRÓTKO

Wioślarstwo

Tym razem wracamy do kraju bez medali

Na mistrzostwach świata w wioślarstwie, które odbyły się na najstarszym sztucznym torze Bosbaan na terenie Amsterdamse Bos w Amstelveen, reprezentacja Polski nie zdołała wywalczyć żadnego medalu. Męska czwórka podwójna w składzie: Dominik Czaja, Mateusz Biskup, Mirosław Ziętarski i Konrad Domański zajęła 5. miejsce. Triumfowali Włosi, przed Niemcami i Brytyjczykami. W ubiegłorocznych mistrzostwach świata w Szanghaju Polacy wywalczyli brązowy medal, a w tym roku zostali wicemistrzami Europy.

PaW

Rajdy samochodowe

Kajetan Kajetanowicz najszybszy w Sudetach

Kajetan Kajetanowicz z pilotem Maciejem Szczepaniakiem jadący Citroënem C3 WRC triumfował na trasach w Kotlinie Kłodzkiej w 3. Rajdzie Legend. Na trasach odcinków specjalnych, znanych od lat m.in. z Rajdu Polski, gdy był tam rozgrywany, dawnych mistrzów dopingowały tysiące kibiców. Impreza cieszy się coraz większą popularnością.

PaW

Piłka ręczna

„Nafciarze" lepsi od kieleckich rywali

W meczu o Superpuchar Polski piłkarzy ręcznych, który odbył się w łódzkiej hali Atlas Arena, drużyna Orlen Wisła Płock pokonała Industrię Kielce 27:24 (13:13). W spotkaniu pań Superpuchar po raz pierwszy wywalczył zespół PGE MKS El-Volt Lublin. Wicemistrzynie kraju zwyciężyły w serii rzutów karnych broniące trofeum KGHM Zagłębie Lubin 5-4. Po 60 minutach gry był remis 26:26.

PaW

Judo

Kapitalne walki Polki na paryskiej macie

Wicemistrzyni świata z 2024 roku Angelika Szymańska, podopieczna trenerki Anety Szczepańskiej, triumfowała w turnieju Grand Slam w judo w Lozannie. W finale kategorii 63 kg pokonała przez ippon Francuzkę Manon Deketer.

PaW

FOT. SZYMON GRUCHALSKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl 2c5aa58040

S24 sportowy24.pl

sport

ŻUŻEL

Tym razem Polacy z brązowym medalem DPŚ. Australijczycy bezkonkurencyjni
– *str. 21*

SIATKÓWKA

FOT. ASZYMON GRUCHALSKI

Dzisiaj o godz. 18 Polki zmierzą się o ćwierćfinał mistrzostw Europy z Portugalią
– *str. 22*

KAJAKARSTWO

Trzy medale na mistrzostwach świata. Oleksii Koliadych ze złotym krążkiem w konkurencji C1 200 m
str. 23

Pierwszy mecz w US Open Iga Świątek zagra w nocy z poniedziałku na wtorek z Chinką Wang Xiyu

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Ruszył US Open. W Nowym Jorku zobaczymy aż sześcioro Polaków. Na zwycięzców singla czekają premie finansowe w wysokości 5 500 000 USD
str. 23

eprasa.pl 2c5aa58040